

# NIEOCZEKIWANE

I INNE OPOWIADANIA

ZŁOTA PODKOWA 52



WYDAWNICTWO „ŚLASK” KATOWICE 1960

JACK LONDON

## NIEOCZEKIWANE

WIDZIEĆ dostrzegalne i robić powszednie, to prosta sprawa. Życie indywidualne skłonne jest raczej do bezwładu niż ruchu, a skłonność tę wzmacnia cywilizacja, w której zasięgu widzi się tylko dostrzegalne, a nieoczekiwane nadchodzi bardzo rzadko. Jeżeli jednak nadchodzi i jest wystarczająco ważne, niezaradne jednostki giną. Nie mogą zobaczyć niedostrzegalnego, nie mogą stawić czoła nieoczekiwanemu, nie potrafią dopasować starannie sformowanego życia do kształtów odmiennych, codziennych łożysk: giną u kresu własnego, utartego łożyska.

Bywają jednak ludzie powołani do wielkich przeżyć. Jednostki zaradne wymykają się prawu dostrzegalnego i powszedniego, przystosowują życie do kształtu najdziwaczniejszych nawet łożysk, w które zabłądzą lub zostaną zepchnięte siłą. Taką jednostką była Edyta Whittlesey. Urodziła się w rolniczej okolicy Anglii, gdzie życie płynie naturalnym rzeczą porządkiem, a nieoczekiwane jest tak bardzo nieoczekiwane, że uchodzi za niemoralność, jeżeli się czasami zdarzy. Edyta Whittlesey poszła na służbę wcześniej, była więc młoda, gdy naturalnym rzeczą porządkiem została pokojową wielkiej damy.

Zasadą cywilizacji jest narzucanie ludzkich praw życia, dopóki zacznie ono działać regularnie i sprawnie jak maszyna. Uniestwia się nieprzyjemne, przewiduje nieuniknione. Człowiek nie moknie na deszczu, nie marznie podczas mrozów. Nawet śmierć, zamiast kroczyć groźnie i od przypadku do przypadku, staje się przygotowanym zawczasu pochodem, zmierzającym dobrze naoliwionym łożyskiem do rodzinnego grobowca, gdzie troskliwie odkurza się wszystko, a zawiasy smaruje, żeby ich rdza nie pokryła.

Takie właśnie było życie Edyty Whittlesey. Nic się nie działo. Trudno nawet nazwać wydarzeniem to, że mając dwadzieścia pięć lat towarzyszyła swej pani w wycieczce do Stanów Zjednoczonych. Łóżysko zmieniło tylko kierunek, zostało jednak tym samym dobrze naoliwionym łożyskiem. Bez przygód i niespodzianek wiodło na drugą stronę Atlantyku. Nawet okręt nie był okrętem na morzu, lecz pakownym wielopiętrowym hotelem, który porusza się szybko i pewnie, niezmiernym ciężarem gniecie fale i zmuszając je do uległości odmienia ocean w do znudzenia spokojną sadzawkę. Na amerykańskim brzegu łożysko ciągnęło się dalej lądem; było to bardzo przyzwoite łożysko wiodące do hotelu na każdym postoju, a między postojami do hoteli na kolach.

W Chicago, kiedy jej pani oglądała jedną stronę życia towarzyskiego, Edyta Whittlesey poznawała drugą. Objawiła nawet pewną zdolność do zmagania się z nieoczekiwanym i do zwycięstwa nad nim, gdyż podziękowała za służbę i została Edytą Nelson. Hans Nelson, imigrant, Szwed z pochodzenia i cieśla z zawodu, ulegał germańskiemu niepokoju, który na szlaku wielkiej przygody wciąż popycha tę rasę ku zachodowi. Hans był muskularny, ciężki, zrównoważony, a mierną wyobraźnię łączył z niezwykłą przedsiębiorczością. Posiadał nadto uczciwość i dar kochania — równe jego niespożytej energii.

— Będę pracował ciężko, a jak zbiorę trochę pieniędzy, pojedę do Colorado — rzekł Edycie następnego dnia po ślubie.

Po roku Nelsonowie byli już w Colorado, gdzie Hans pierwszy raz zobaczył kopaczy złota i zaraził się ich gorączką. Poszukiwania wiodły go przez Dakotę, Idaho i wschodni Oregon, aż do gór Kolumbii Brytyjskiej. W obozie i na szlaku Edyta Nelson towarzyszyła mężowi — dzieliła szczęście, kłopoty i trudy. Dreptanie hodowanej w domu kobiety zamieniła na posuwisty chód górala. Nauczyła się spoglądać na niebezpieczeństwo śmiało, ze zrozumieniem i na zawsze pożegnała paniczny strach zrodzony z nieświadomości, pospolity wśród

mieszczuchów. Bo mieszcuchy głupieją z obawy jak przerażone konie i zamarli ze zgrozy oczekują losu, zamiast porwać go za bary albo rzucić się naprzód i w samobójczym pędzie usiąć drogę własnymi trupami.

Edyta Nelson spotykała nieoczekiwane na każdym zakręcie ścieżki, a wzrok wyćwiczyła tak, że w krajobrazie widziała przede wszystkim niedostrzegalne, ukryte. Ona, co nie zajmowała się kuchnią nigdy w życiu, umiała wyrabiać ciasto bez użycia chmielu, drożdży czy proszku do pieczenia, a doskonały chleb piekła na zwykłej patelni nad otwartym ogniem. A kiedy zużyła ostatni kubek mąki i ostatni kawałek boczku, stać ją było na przystosowanie się do okoliczności: z mokasynów i miętko garbowanych skórzanych części ubrania i rynsztunku przyrządzała niby to gulasz, który mimo wszystko trzymał duszę w cielesnej powłoce i dawał siły do wleczenia się naprzód. Nauczyła się objuczać zarówno konia, jak człowieka, choć było to zadanie, które złamałoby mieszkańca miasta i odarło go z resztek ambicji. Wiedziała nawet, jakie węzły najlepiej nadają się do tego lub owego rodzaju bagażów. Umiała także nie tracąc dobrego humoru rozpałić ogień z mokrego drewna podczas gwałtownej ulewy. Krótko mówiąc, Edyta Nelson pod każdym względem zwyciężała nieoczekiwane. Ale WIELKIE NIEOCZEKIWANE miało jeszcze zastąpić jej drogę i wystawić Edytę na ciężką próbę.

Fala poszukiwaczy złota odpływała na północ, ku Alasce, i nurt ten musiał porwać i rzucić w stronę Klondike Hansa Nelsona z żoną. Jesienią roku 1897 znaleźli się w Dyea, nie mieli jednak pieniędzy, aby przenieść sprzęt na drugą stronę Przełęczy Chilcoot i spławić później w dół Yukonu do Dawson. Owej zimy Hans Nelson pracował w swoim fachu i pomagał przy budowaniu wyrastających jak grzyby po deszczu domów miasta Skaguay, gdzie zaopatrywali się kopacze.

Cieśla był w ostatecznej rozpacz. Przez całą zimę słyszał nieodparty zew Alaski. Najgłośniejszą wołała Zatoka Latuya, toteż latem 109!) roku długie na siedemdziesiąt stóp czółno Siwashów płynęło labiryntem skał nadbrzeżnych. W czółnie byli Hans Nelson i jego żona, a prócz nich (nie licząc Indian) trzech białych mężczyzn. Indianie zostawili pasażerów i bagaże nad ustronną zatoczką, mniej więcej sto mil za Zatoką Latuya i wrócili do Skaguay. Trzej biali zostali, ponieważ wchodzili w skład zorganizowanej grupy, której uczestnicy pokrywali w równych częściach koszt wyprawy i mieli otrzymywać jednakowe zyski. Edyta Nelson podjęła się gospodarowania, przysługiwał jej więc udział taki sam jak mężczyznom.

Zrąbano pierwsze jodły, zbudowano trzyizbową chatę. Utrzymywanie w niej porządku stanowiło zadanie Edyty Nelson. Mężczyźni mieli szukać złota, co robili, i znaleźć złoto, co również się powiodło. Nie było to wspaniałe odkrycie, lecz dość ubogi pokład, gdzie wielogodzinna harówka przynosiła każdemu kopaczowi piętnaście do dwudziestu dolarów dziennie. Lato, krótkie na Alasce, przeciągało się niezwykajnie, więc Hans Nelson i jego towarzysze korzystali ze sposobności i powrót do Skaguay odkładali z dnia na dzień. W końcu było za późno. Od dawna uzgodniono, że poszukiwacze odpłyną w towarzystwie kilkudziesięciu miejscowych Indian, którzy wybierali się w jesienną podróż handlową wybrzeżem oceanu. Siwashe czekali na białych do ostatniej chwili, wreszcie ruszyli w drogę. Spółka nie miała wyboru; musiała wyglądać przypadkowej okazji. Tymczasem trzeba było drzewa na działce i gromadzono opał.

Indiańskie lato marudziło, drzemało. Później nagle, jak na dźwięk surmy, przyszła zima. Nadciągnęła nocą, a kiedy kopacze zbudzili się, wyła wichura, szalała zamieć śnieżna, zamarzały wody. Nawałnica ścigała nawałnicę, w przerwach zaś panowała cisza i słychać było tylko szturm morza na bezludne wybrzeże, gdzie słone bryzgi inkrustowały plaże zlodowaciałą bielą.

W chacie działo się dobrze. Zdobyty złoty piasek wart był około ośmiu tysięcy dolarów i poszukiwacze mogli się tylko cieszyć.

Porobili rakiety śnieżne, tropili zwierzyinę, by zaopatrywać spiżarnię w świeże mięso, a w długie wieczory siadywali przy tasiemcowych partiach wista lub pedro. Ponieważ ustała

praca na działce, Edyta Nelson przekazała mężczyznom podsycać ognia i zmywanie naczyń, sama zaś cerowała skarpety i naprawiała odzież.

W ciasnej chacie nie znano utyskiwań, swarów, drobnych sprzeczek, a mieszkańcy jej często gratulowali sobie wzajemnie, że żyją tak wesoło i po przyjacielsku. Hans Nelson (solidny, poważny i łatwy w obejściu) szczerze i od dawna podziwiał żonę za to, że potrafi być tak dobrym towarzyszem mężczyzn. Harkey — wysoki, chudy Amerykanin z Teksasu, człowiek przyjemny, choć małomówny, dobrze zgadzał się z towarzystwem, póki nikt nie zahaczył jego teorii, że złoto rośnie. Czwarty wspólnik, Michael Dennin, wnosił do zacisznej izby irlandzki humor. Był wysoki, atletycznie zbudowany, skłonny do nagłych wybuchów gniewu o byle drobiazg i niezawodnie pogodny w wypadku wielkich przykrości lub ciężkich trudów. Piąty i ostatni z kompanii, Dutchy \*, z własnej woli stanowił zwykły cel żartów. Sam sobie robił na przekór, byle budzić śmiech na swój rachunek i byle trwała uciecha. Zdaje się miał jasny, świadomy cel w życiu: chciał być wesołkiem, szafarzem śmiechu. Poważne kłótnie nie mąciły nigdy nastroju w szczupłym gronie. Panował tam umiejętnie podsycany, pełen zadowolenia duch pomyślności, gdyż każdy mógł poszczycić się wynikiem krótkiej pracy w ciągu lata: szesnastoma setkami dolarów.

Wreszcie nadeszło NIEOCZEKIWANE.

Mieszkańcy chaty usiedli do śniadania późno, jak zwykle od czasu, gdy zima przerwała regularną pracę przy wydobywaniu złota. Była już ósma, ale paliła się świeca zatknięta w szyjkę butelki. Edyta i Hans zajmowali oba końce stołu. Po jednej stronie, plecami do drzwi, siedzieli Harkey i Dutchy. Miejsce naprzeciw nich było wolne. Dennin nie przyszedł jeszcze. Hans Nelson zerknął na pusty stół, wolno pokiwał głową i siląc się na dobry humor powiedział:

— Zawsze pierwszy pcha się do żarcia. Bardzo dziwne. Może zachorował?

— Gdzie Michael? — zapytała Edyta.

— Wstał trochę wcześniej od nas i wyszedł na dwór — wyjaśnił Harkey.

Dutchy zrobił rozpromienioną minę, jak gdyby gotował figiel. Udawał, że wie coś niecoś o powodach nieobecności Dennina. Uśmiechał się tajemniczo. Inni zaczęli go głośno wypytywać. Edyta zajrzała do sypialni mężczyzn i wróciła do stołu. Hans spojrzał na żonę, lecz przecząco pokręciła głową.

— Nigdy nie spóźnia się na posiłki — rzekła.

— Nic nie rozumiem — podjął Hans. — Zawsze ma pierwsza klasa apetyt: je niczym wilk.

— Bardzo niedobra — odezwał się Dutchy i smutno pokiwał głową.

Zebrani przy stole zaczęli żartować na temat zniknięcia towarzysza.

— Wielki szkoda! — wtrącił znów Dutchy.

— Czego szkoda? — zapytał chór.

— Biedna Michael — westchnął Dutchy grobowym tonem.

— A cóż się stało Michaelowi? — zapytał Harkey.

— On więcej wcale nie głodna — ubolewał Dutchy. — Cała apetyt precz! On nie lubi szarcie.

— Nie widać tego, bo wpycha zawsze, aż mu się uszy trzęsą — powiedział Harkey.

— On nie chce być niekrzeczna dla pani Nelson — podjął szybko Dutchy. — Ja wie, ja wie wszystko! To bardzo niedobra. Po co on tutaj nie jest? Bo wyszła na dwór. Po co poszła na dwór? Szeby narobić apetytu. Jak on robi apetyta? Chodzi boso po śnieg. Aha! Ja wie wszystko! Tak bogate ludzie robią apetyta, kiedy apetyt precz i nie jest więcej. Michael ma tysiąca i szeszc sto dolarów. On bogata szlowiek. On nie miała apetyta. Jak wy otworzyła drzwi, wy jego widziała chodzić boso po śnieg. Ale wy nie widziała apetyta. To cała bida

\* Dutchy jest przezwiskiem, zniekształceniem wyrazu Holender (Dutch). Dutchy mówi łamaną angielszczyzną.

Michaela! Jak on zobaczy apetyta, on go cap! i będzie przyszła na śniadanie.

Bredniom wesółka odpowiedział donośny śmiech. Ledwie przebrzmiał, drzwi otwały się i do izby wszedł Dennin. Siedzący przy śniadaniu odwrócili głowy, spojrzeli na spóźnionego przybysza. Trzymał dubeltówkę. W oczach wszystkich podniósł ją do ramienia i dwa razy dał ognia. Po pierwszym strzale Dutchy padł na stół, wyrzucił kubek z kawą, płową czupryną zarył w talerzu płatków owsianych. Czołem przygniótł bliższy siebie brzeg, toteż pełen włosów talerz stanął na blacie stołu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Hurcy podskoczył, zerwał się z miejsca, ale trafiony drugim strzałem upadł twarzą na podłogę. „Wielki Boże”! — zagulgotało mu w krtani i zamarło.

Tak przyszło NIEOCZEKIWANE.

Hans i Edyta zdrętwieli. Sztynno siedzieli za stołem, urzeczony wzrok utkwiał w mordercę. Niewyraźnie widać go było przez obłok prochowego dymu. Wśród grobowej ciszy kawa rozlana z kubka Dutchy'ego ściekała na podłogę: kap, kap, kap... Dennin złamał dubeltówkę. Wyrzucił puste gilzy. Trzymając strzelbę w jednej ręce, drugą sięgnął do kieszeni po ładunki.

Wsował je właśnie do luf, gdy Edyta Nelson ocknęła się zaczęła działać. Nie miała wątpliwości, że Dennin chce zabić ją i Hansa. Na chwilę nie dłuższą niż trzy sekundy poraziła, sparaliżowała kobietę potworna, niepojęta forma, w jakiej objawiło się NIEOCZEKIWANE. Później Edyta wyszła mu na spotkanie, chwyciła za bary. Chwyciła zresztą w całym tego słowa znaczeniu, gdyż kocim susem skoczyła na mordercę i obydwoma rękami uczepiła się szalika, który miał związany na szyi. Dennin napadnięty zniecka zachwiał się, cofnął o kilka kroków. Próbował odzyskać swobodę ruchów, nie wypuszczał broni z ręki. Stało się wszakże coś dziwnego: twarde mięśnie Edyty nabrały kociej zwinności. Kobieta uskoczyła w bok i szarpnięciem za szyję przegięła mordercę prawie do podłogi. Wyprostował się, okręcił szybko dokoła własnej osi. Edyta nie wypuszczała szalika. Trzymała mocno i uczepiona oburącz wirowała wraz z Denninem. Wreszcie nogi jej oderwały się od podłogi, a ciało zaczęło krążyć w powietrzu tworząc wir, który nagle zderzył się ze stołkiem. Mężczyzna i kobieta runęli na podłogę, lecz w upadku nie zaprzestali obłąkańczej walki i szamocąc się przemierzali połowę izby.

Hans Nelson oprzytomniał i pojął nieoczekiwane o pół sekundy później niż żona. Procesy nerwowe i procesy myślowe zachodziły w nim wolniej. Był większym organizmem, toteż zmarnował pół sekundy, zanim dostrzegł, zrozumiał, wreszcie zaczął działać. Edyta zdążyła już skoczyć na Dennina i chwycić go za gardło, gdy Hans porwał się na nogi. Ale nie był tak chłodny i opanowany, jak żona. Wpadł w dziką furję, w szal godny Wikinga. W chwili, gdy podnosił się ze stołka, otworzył usta i wydał głos pośredni między rykiem a wyciem. Błyskawiczny wir dwóch ciał krążył już po izbie, a Hans rycząc wciąż i wyjąc ścigał go i pochwycił wreszcie, kiedy Edyta i Dennin runęli na podłogę.

Hans rzucił się na powalonego mordercę i nieprzytomnie zaczął okładać go pięściami. Tłukł potężnie, jak młotem, toteż Edyta poczuła wkrótce, że Dennin nie stawia oporu. Wypuściła z rąk szalik, odpełzła nieco dalej. Dysząc ciężko leżała na podłodze i patrzyła. Wciąż padały szaleńcze razy. Dennin nie czuł ich bodaj. Nie reagował, nie ruszał się nawet. Kobięcie przyszło na myśl, że musiał zemdleć. Zawołała, żeby Hans dał spokój. Krzyknęła po raz drugi, ale Hans nie zwracał uwagi na jej głos. Chwyciła męża za rękę, lecz osiągnęła tylko tyle, że rozmach osłabł trochę.

Nie podszept rozsądku skłonił kobietę do tego, co zrobiła później, nie litość ani posłuszeństwo religijnej nauce: „Nie zabijaj”! Było to raczej poczucie prawa. Etyka rasy i otoczenia z dni młodości kazały jej własnym ciałem osłonić bezbronnego mordercę przed furią męża; Hans spostrzegł, że bije żonę, i wtedy dopiero przestał. Pozwolił Edycie odciągnąć się od ofiary. Podobnie rozjuszony, ale karny pies pozwala odciągnąć się swemu panu. Podobieństwo to sięgało jeszcze dalej. Na zwierzęcy sposób złość charczała w głębi gardzieli

Nelsona, który kilka razy próbował się znów rzucić na zdobycz i uczyniłby to niezawodnie, gdyby Edyta zwinnie nie zagradzała mu drogi.

Uparcie odciągała szaleńca, wlokła do tyłu. Nigdy nie widziała męża w takim stanie, więc bała się go bardziej niż Dennina w gorączce walki. Nie mogła uwierzyć, że ta rozszalała bestia jest jej Hansem i ze zgrozą uświadomiła sobie nagle, że jak dziki zwierz może w każdej chwili chwycić jej dłoń zębami. Hans nie chciał bić żony, lecz gorąco pragnął podjąć przewaną egzekucję. Przez kilka sekund szamotał się to w jedną, to w drugą stronę, lecz Edyta cierpliwie zagradzała mu drogę, uchylała się z nim razem, aż wreszcie rozsądek zaczął powracać i mąż dał za wygraną.

Obydwoje z trudem dźwignęli się na nogi. Hans stanął pod ścianą, oparł plecami. Twarz mu drgała, w gardle charczało głucho, nieprzerwane warczenie, które cichło z sekundy na sekundę, aż umilkło zupełnie. Nadeszła pora na reakcję. Edyta stała pośrodku izby. Załamywała ręce, sapała i wdychała ciężko, trzęsła się jak liść na wietrze.

Nelson nie patrzył na nic, niczego nie widział. Ale wzrok Edyty błędził niespokojnie po scenie niedawnych wydarzeń, od jednego szczegółu do drugiego. Dennin leżał bez ruchu niedaleko stolka obalonego szaleńczym wirem. Częściowo pod sobą miał dubeltówkę, nie zamkniętą jeszcze po wyrzuceniu pustych gilz. Z jego prawej dłoni wysuwały się dwa ładunki. Nie zdążył ich włożyć do lufy, ale kurczowo ścisnął palcami, póki nie opuściła go przytomność. Harkey leżał twarzą do podłogi w miejscu, na którym upadł. Dutchy pochylony na blat stołu nurzał płową czuprynę w talerzu płatków owsianych, a talerz sterczał wciąż pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ten sterczący talerz szczególnie interesował Edytę. Czemu nie spada? To pocieszne! Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy talerz płatków owsianych nie powinien stać pod kątem na stole, choćby nawet zamordowano człowieka.

Edyta przeniosła wzrok na Dennina, zaraz jednak wróciła do szczególnego talerza. Był taki zabawny! Odczuła histeryczną ochotę do śmiechu. Później uprzytomniła sobie ciszę i zapomniała o talerzu. Zapragnęła, by coś się zdarzyło. Jednostajne kapanie kawy ze stołu na podłogę podkreślało tylko grobową ciszę. Czemu Hans nic nie robi, nie mówi? Spojrzała na niego i otworzyła usta, lecz przekonała się, że język nie chce pełnić zwyczajnych funkcji. Gardło bolało ją dziwnie, usta miała suche, jak gdyby kostropate. Mogła tylko gapić się na męża, ten zaś gapił się na nią.

Nagle ciszę przerwał ostry, metaliczny brzęk. Edyta krzyknęła, zwróciła wzrok w stronę stołu. Talerz spadł nareszcie Hans westchnął, jak gdyby przebudzony ze snu. Brzęk blachy zbudził Nelsonów do życia w nowym świecie. Chata symbolizowała ów nowy świat, w którym od dzisiaj mieli żyć i działać. Dawna chata zniknęła na zawsze. Widnokreśli życia były zupełnie nowe, obce. Nieoczekiwane jak czarnoksiężnik musnęło porządek rzeczy, odmieniło perspektywy, przetasowało wartości, zrobiło zwodniczą mieszaninę ze wszystkiego, co realne i nierealne.

— Mój Boże! Hans!

Takie były pierwsze słowa Edyty.

Nelson nie odpowiedział. Ze zgrozą spojrział na żonę i powoli zaczął rozglądać się po izbie, pierwszy raz badać ją dokładnie. Później włożył czapkę na głowę i ruszył w stronę drzwi. Edytę ogarnęło przerażenie.

— Dokąd idziesz? — krzyknęła.

Rękę miał na klamce. Odwrócił się i powiedział.

— Trzeba wykopać groby.

— Nie zostawiaj mnie, Hansie, z... — spojrzeniem omiotła izbę — ...z tym wszystkim.

— Cóż, zdarza się, że czasami trzeba kopać groby — odpowiedział.

— Nie wiesz jeszcze, ile — sprzeciwiła się rozpaczliwie, a widząc, że mąż się waha, dodała: — A zresztą, pójdę z tobą, pomogę.

Wrócił do stołu. Machinalnie poprawił palcami świecę. Później rozpoczęły się oględzi-

ny. Harkey i Dutchy nie żyli. Wyglądali okropnie, bo morderca strzelał z bardzo bliska. Hans nie chciał dotknąć Dennina, więc Edyta musiała samodzielnie przeprowadzić tę część śledztwa.

— Żyje! — zawołała.

Hans zbliżył się i z góry spojrzął na mordercę.

— Coś mówił? — zapytała Edyta, gdy w gardle męża zacharczały nieartykułowane dźwięki.

— Mówiłem, że to cholerna szkoda, że taki nie zdechł — odpowiedział Nelson.

Edyta schyliła się nad leżącym ciałem.

— Zostaw go — rozkazał Nelson surowym, nieswoim głosem.

Opanowana nagłą trwogą podniosła wzrok na męża. Chwycił dubeltówkę upuszczoną przez Dennina i zaczął ją nabijać.

— Co robisz? — krzyknęła prostując się gwałtownie.

Hans nie odpowiedział. Przyłożył kolbę do ramienia. Widząc to Edyta chwyciła lufę blisko wylotu, szarpnęła ją w górę.

— Zostaw mnie! — krzyknął Hans ochryple.

Chciał jej wyrwać broń, ale kobieta przysunęła się bliżej, objęła go w pól.

— Hansie! Hansie! — zawołała. — Zbudź się! Opamiętaj! Nie bądź szalony!

— On zabił Dutchy'ego i Harkeya — odrzekł mąż. — Muszę go zabić.

— Ależ to zbrodnia! — sprzeciwiła się gwałtownie. — Istnieje przecie prawo!

Wykrzywił się wzgardliwie, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie wierzy w istnienie prawa w takiej okolicy. Ale powtórzył tylko beznamyślnie, uparcie:

— On zabił Dutchy'ego i Harkeya.

Edyta długo przekonywała męża, była to jednak dysputa jednostronna, gdyż ograniczona była do wypowiedzianego raz po raz zdania: — On zabił Dutchy'ego i Harkeya. Kobieta nie ustępowała jednak, nie była w stanie uwolnić się od wpływów wychowania z lat dziecińczych, od krwi swego narodu. Poczucie praworządności stanowiło jej dziedzictwo, a stosowanie prawa było dla niej jedynym słusznym postępowaniem. Innej uczciwej drogi nie mogła sobie wyobrazić. Hans własnoręcznie wymierzający sprawiedliwość był równie niezgodny z prawem jak zbrodnią Dennina. „Dwa złe postęпки — nie dają w sumie dobrego — rozumowała Edyta — istnieje więc tylko jeden sposób ukarania mordercy: sposób legalny, ustalony przez porządek społeczny”.

Wreszcie Nelson skapitulował.

— Dobrze — burknął. — Niech stanie na twoim. Jutro czy pojutrze on zabije ciebie albo mnie. Sama zobaczysz.

Pokręciła głową i wyciągnęła rękę po dubeltówkę. Hans był gotów oddać ją żonie, lecz zawahał się w ostatniej chwili.

— Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej — poprosił.

Znów pokręciła głową i Hans powtórnie wyciągnął do niej rękę ze strzelbą. Wtem drzwi otworzyły się bez pukania i do izby wszedł Indianin. Wraz z nim wtargnął podmuch wiatru i zawierucha śniegowych płatków. Nelsonowie odwrócili głowy, spojrzeli na przybysza. Hans trzymał jeszcze dubeltówkę. Nieproszony gość bez dreszczu przyjął do wiadomości krwawą scenę. Przelotnym spojrzeniem obrzucił trupy i rannego. Na twarzy jego nie odmalowało się zdziwienie ni ciekawość. Harkey leżał u jego nóg, ale Indianin nie zwracał nań uwagi. Dla niego zwłoki Harkeya nie istniały.

— Straszny wiatr — odezwał się na powitanie. — Wszystko dobrze, co? Bardzo dobrze?

Hans ścisnął w rękę strzelbę. Był pewien, że Indianin jemu przypisuje zmasakrowane ciała. Błagalnie spojrzął na żonę.

— Jak się masz, Negook — powiedziała z wysiłkiem i trudem. — Nie, nie bardzo

dobrze. Straszne nieszczęście.

— Do widzenia. Już idę. Bardzo pilno — odrzekł Negook. Ostrożnie bez pośpiechu przestąpił czerwoną kałużę na podłodze, otworzył drzwi i wyszedł.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie.

— Myśli, że to nasza robota — wykrztusił Hans — że moja...

Edyta milczała chwilę. Następnie przemówiła zwięźle, rzeczowym tonem:

— Mniejsza, co Negook myśli. To okaże się później. Teraz mamy dwa groby do wykopania. Ale przede wszystkim trzeba związać Dennina, żeby nie mógł uciec.

Hans nie chciał dotknąć mordercy, lecz Edyta skrępowała mu mocno ręce i nogi. Później wyszli w zameć śnieżną. Złodowaciała ziemia nie ustępowała pod uderzeniem kilofa. Nelsonowie przynieśli drewno i na oczyszczonej ze śniegu twardej skorupie rozniecili ognisko. Płonęło godzinę i rozmiękczyło kilka cali zmarzniętej powłoki. Teraz należało wybrać łopatami tę warstwę i na nowo rozpałcić ogień. Grób pogłębiał się z szybkością dwóch lub trzech cali na godzinę.

Praca była ciężka i żmudna. Tumany śniegu nie pozwalały ognisku palić się, jak należy. Wiatr przenikał odzież, mroził skostniałe ciała. Nelsonowie odzywali się rzadko. Zawierucha przeszkadzała rozmowie. Najpierw próbowali odgadnąć motywy zbrodni Dennina. Później milczeli. O pierwszej Hans spojrzął w stronę chaty i oznajmił, że jest głodny.

— Nie, Hansie — odpowiedziała żona. — Nie teraz. Trudno wymagać, żebym sama poszła do chaty... do tej chaty... i gotowała obiad. Tego nie potrafię!

Koło drugiej Hans zgodził się towarzyszyć żonie, lecz zatrzymała go przy pracy. O czwartej oba doły zostały skończone. Były płytkie, nie głębsze niż dwie stopy, nadawały się jednak do zamierzonego celu. Tymczasem zapadła noc. Hans wyciągnął sanki i dwa trupy powędrowały przez ciemności i zadymkę do zlodowaciałego grobowca. Pogrzeb nie przypominał w niczym uroczystego konduktu. Sanki głęboko tonęły w zaspach, opierały się mocno. Nelsonowie nie jedli nic od poprzedniego dnia, toteż osłabli z głodu i nerwowego wyczerpania. Nie mieli sił, by walczyć z wichurą i od czasu do czasu padali obaleni nagłym podmuchem. Sanki wywracały się kilkakrotnie, trzeba więc było ładować na nie od nowa upiorny bagaż. Ostatnie sto stóp do grobów wiodło pod górę, stromym zboczem. Hans i Edyta przebyli drogę na czworakach, niby psy pociągowe. Z rąk uczynili przednie nogi, a dłonie nurzali w śniegu. Mimo to dwa razy ciężar ściągał ich w tył po stoku wzgórza. Żywi i umarli, postronki zaprzęgu i sanki — wszystko to sunęło na dół w straszliwym nieładzie.

— Jutro ustawię w głowach mogiły deski z ich nazwiskami — powiedział Hans po zasypaniu dołów.

Edyta szlochała. Nabożeństwo żałobne ograniczyła do kilku urywanych zdań. Na nic więcej nie mogła się zdobyć. Osłabła i mąż prawie ją odniósł do chaty.

Dennin odzyskał przytomność. Od dawna przewracał się z boku na bok i daremnie próbował rzucić pęta. Na Hansa i Edytę spoglądał pałającym wzrokiem, nie zaczynał jednak rozmowy. Nelson nadal wzbraniał się dotknąć mordercy. Patrzył posepnie, jak żona wlecze go do sypialni mężczyzn, gdzie — chociaż próbowała na wszelkie sposoby — nie mogła dźwignąć ciężaru z podłogi na pryczę.

— Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej. Od razu skończą się kłopoty — wystąpił Hans z ostatnią prośbą.

Edyta pokręciła głową i schyliła się, by wznowić próby. Ze zdziwieniem poczuła, że bezwładne ciało uniosła zupełnie łatwo, odgadła więc, że Hans zmiękł i pospieszył jej z pomocą. Później przyszła kolej na sprzątanie kuchni. Podłoga opowiadała jednak o tragedii i przestała wołać o niej wielkim głosem wtedy dopiero, gdy Hans zheblował poplamione deski, a strużynami napalił w piecu.

Dnie przychodziły i mijały. Wiele było ciemności i ciszy przerywanej tylko nawałnicami i grzmotem zamarzającego morza, które szturmowało wybrzeże. Hans słuchał najlżejszego



skinienia Edyty. Utracił swą wspaniałą przedsiębiorczość. Żona chciała policzyć się z Denninem na swój sposób, w jej więc rękach zostawił całą sprawę.

Morderca był nieustanną groźbą. W każdej chwili mógł uwolnić się z więzów, toteż Nelsonowie pilnowali go dniem i nocą. Zawsze jedno lub drugie siedziało przy nim z nabitą strzelbą w pogotowiu. Zrazu Edyta ustanowiła ośmiogodzinne warty, ale tak długie i nieprzerwane napięcie było zbyt nużące. Później zmieniała się z mężem co cztery godziny. Ale Nelsonowie musieli spać, a że posterunku nie mogli opuszczać w nocy, prawie cały wolny czas poświęcali czuwaniu nad Denninem. Resztę pochłaniało przyrządzanie posiłków i zbieranie drewna na opał.

Po wizycie złożonej nie w porę przez Negooka Indianie omijali chatę. Edyta wysłała do nich Hansa z propozycją, żeby czólnem wzdłuż wybrzeża morskiego odwiedzi Dennina na południe do najbliższej osady białych lub bodaj faktorii. Misja ta spelzła na niczym. Z kolei pani Nelson wybrała się sama i odbyła rozmowę z Negookiem. Był on naczelnikiem małej wioski i w pełni oceniał wagę tego stanowiska. Ale swoją politykę wyłożył jasno i w niewielu słowach.

— To zmartwienie białych — powiedział — nie zmartwienie Siwashów. Moi ludzie wam pomogą, zmartwienie będzie także zmartwieniem Siwashów. Jak zmartwienie białych będzie razem ze zmartwieniem Siwashów, zrobi się jedno zmartwienie, bardzo wielkie zmartwienie, takie, że go nikt nie zrozumie i wcale nie będzie mu końca. Zmartwienie jest niedobre. Moi ludzie nie zrobili nic złego. Po co mają wam pomagać i mieć zmartwienie?

Edyta wróciła z kwitkiem do straszliwej chaty i nie kończących się czterogodzinnych wart. Często podczas swej zmiany, gdy z nabitą dubeltówką siedziała nad więźniem, przymykała oczy i zaczynała drzemać. Za każdym razem budziła się przerażona. Chwytała strzelbę i szybko zerkała na Dennina. Były to odruchy nerwowe, które wywierały zgubny wpływ na organizm. Bała się tego człowieka. Nawet na jawie nie mogła stłumić przerażenia i raptownie sięgała po broń, ilekroć on poruszył się pod kocami. Była bliska rozstroju nerwowego i zdawała sobie z tego sprawę.

Najpierw gałki oczne zaczynały drgać tak, że Edyta musiała zamykać oczy, by to powstrzymać. Z kolei przyszło nerwowe mruganie, bezwiedne, niemożliwe do opanowania. Kobieta była wyczerpana fizycznie i nerwowo, ponadto zaś nie mogła zapomnieć tragedii. Wciąż odczuwała groźbę nie mniejszą niż w ów pierwszy ranek, kiedy NIEOCZEKIWANE wkroczyło do chaty i wzięło ją w posiadanie. Pełniąc codzienne posługi przy więźniu Edyta zaciskała zęby, żelazną ręką trzymała na wodzy ciało i ducha.

Hans reagował odmiennie. Bez reszty uległ myśli, że obowiązkiem jego jest uśmiercić Dennina, ilekroć więc zajmował się spętanym jeńcem lub strażował nad nim, Edytę dręczyła obawa, że jej mąż wpisze nową szkarłatną pozycję w kronice chaty. Często przeklinał mordercę, obchodził się z nim brutalnie. Próbował jednak maskować swą zbrodniczą manię i od czasu do czasu mówił żonie:

— Przyjdzie pora, że sama będziesz chciała, żebym go zabił, a ja tego nie zrobię. Sprzykrzy mi się cała historia.

Nieraz podczas zmiany Hansa Edyta wchodziła cichaczem do sypialni. Strażnik i więzień złowieszczo wpatrywali się w siebie, niby dwie dzikie bestie. Na twarzy Nelsona wypisana była żądza mordy. Dennin miał obłąkaną zaciętą minę szczura zapędzonego w pułapkę bez wyjścia.

— Hansie! — wołała wtedy kobieta. — Ocknij się, Hansie!

Wracał do przytomności, opamiętywał się wystraszony, pełen wstydu, ale bynajmniej nie skruszony.

Hans stał się zatem drugim czynnikiem problemu, który nieoczekiwane dało Edycie do rozwiązania. Z początkiem chodziło jedynie o słuszne postąpienie z Denninem, a słuszne wydawało się kobiecie tylko trzymanie go pod strażą do chwili, gdy będzie mógł stanąć przed

właściwym trybunałem. Później powstać kwestia Hansa. Edyta zrozumiała, że w grę wchodzi władze umysłowe i zbawienie duszy męża. Niebawem odkryła więcej. Problem obejmował również jej własne siły i odporność. Ugięła się pod brzemieniem. Jej lewe ramię odmawiało posłuszeństwa, zaczynało drgać. Edyta nie potrafiła donieść do ust pełnej łyżki, w niczym nie mogła ufać zagrożonej ręce. Doszła do wniosku, że to skutki tańca św. Wita. Dręczyła się pytaniem jak daleko sięgną objawy choroby. Co nastąpi, jeśli ona załamie się zupełnie? Nową grozą była wizja prawdopodobnej przyszłości, gdy w chacie pozostanie tylko Dennin z Hansem.

Czwartego dnia morderca odzyskał mowę.

— Co myślicie ze mną zrobić? — brzmiało pierwsze jego pytanie, które powtarzał później codziennie i wiele razy na dzień.

Edyta odpowiadała zawsze, że na pewno ona i jej mąż potraktują go zgodnie z prawem. Następnie zadawała swoje nieodmienne pytanie:

— Czemu to uczyniłeś?

Dennin nie odpowiadał. Wybuchał gniewem, kłął, rzucał się szarpał krępujące go ramię z surowej skóry. Groził Edycie albo mówił, jak zapłaci Nelsonom, kiedy się wyzwoli, co musi nastąpić wcześniej lub później. W takich przypadkach kobieta odводziła kurki dubeltówki, gotowa posłać mu na spotkanie śmiertelny ołów, jeśli Dennin odzyska swobodę ruchów. Ale serce biło jej mocno, drżała trwożliwie, odchodziła od zmysłów z napięcia i przerażenia.

Z biegiem czasu morderca złagodniał nieco. Znużyła go ta sama wciąż leżąca pozycja — tak przynajmniej rozumowała Edyta. Zaczął prosić i błagać, żeby go rozwiązać. Sypał szalonymi obietnicami. Nie uczyni Nelsonom krzywdy. Sam powędruje wzdłuż wybrzeża morskiego i dobrowolnie odda się w ręce sprawiedliwości. Odstąpi Nelsonom swoją część złota. Przepadnie w sercu dziewiczej puszczy i nigdy, przenigdy nie wróci do cywilizacji. Odbierze sobie życie zaraz po wyzwoleniu z pęt. Błagania kończyły się zwykle nieprzytomnym majaczeniem. Edyta była zdania, że morderca traci chwilami przytomność, nieodmienne jednak kręciła głową i milcząco odmawiała Denninowi wolności, do której tęsknił tak, że często wpadał w dziką furję.

Mijały tygodnie. Więzień łagodniał coraz bardziej. Znużenie dochodziło do głosu, tłumilo wszystko inne.

— Takim jestem zmęczony, takim zmęczony — pomrukiwał często i jak rozkapryszone dziecko kręcił się na poduszce.

Prosił pokornie o śmierć. Błagał o nią Edytę. Zaklinał Hansa, by położył kres jego mękom. Chciał nareszcie odpocząć. Odpocząć.

Niebawem wytworzyły się warunki nie do zniesienia. Edyta była coraz bardziej nerwowa. Zdawała sobie sprawę, że załamanie grozi lada chwila. Nie mogła nawet odpocząć należycie, gdyż dręczył ją strach, że Hans ulegnie swej manii i zastrzeli Dennina korzystając ze snu żony. Nadszedł już styczeń, lecz pierwszego szkunera kupieckiego należało spodziewać się dopiero za kilka miesięcy. Mógł wówczas zawinąć do zatoki, ale wcale nie musiał. Ponadto poszukiwacze złota nie zamierzali zimować w chacie i zapasy żywności bliskie były końca. Hans nie uzupełniał ich polowaniem, bo konieczność pilnowania więźnia przykuwała obydwoje Nelsonów do miejsca.

Edyta pojęła, że coś trzeba przedsięwziąć. Z wysiłkiem wielokrotnie rozważała cały problem. Nie potrafiła oczywiście otrząsnąć się z legalizmu swojej rasy, z poczucia praworządności odziedziczonego wraz z krwią i wpajanego od dzieciństwa. Wiedziała, iż wszystko, co uczyni, musi zgadzać się z zasadami prawa. Podczas długich godzin czuwania, gdy ze strzelbą na kolanach siedziała nad rzucającym się niespokojnie mordercą, a za oknem szalała nawałnica, Edyta Nelson prowadziła samodzielne badania socjologiczne i na własny użytek studiowała ewolucję pojęć prawnych. Wreszcie przyszło jej na myśl, że prawo stanowi tylko

wyraz przekonania i woli takiej lub innej gromady ludzkiej. Nie ma znaczenia fakt, jak liczna jest gromada. Bywają niewielkie, na przykład Szwajcaria. Bywają też duże, na przykład Stany Zjednoczone. Kobieta rozumowała dalej. Nie ma również znaczenia fakt, że gromada jest mała, bodaj najmniejsza. Kraj może liczyć tylko dziesięć tysięcy ludności, a przecież jej zbiorowe przekonanie i wola decydują o obowiązujących prawach. Czemu zatem tysiące ludzi nie mogłyby stanowić takiej grupy? Jeżeli zaś wystarczy tysiąc, z jakiej racji nie ma wystarczyć stu, pięćdziesięciu, pięciu?... Dlaczego nie ma wystarczyć DWOJE?

Przestraszona śmiałością swoich wniosków omówiła je z mężem. Z początku nie mógł nic zrozumieć. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie i dorzucił przekonywający argument. Wspomniał o wiecach poszukiwaczy złota, kiedy to wszyscy mężczyźni pracujący w okolicy zbierają się, aby stanowić prawa i wymierzać sprawiedliwość. Hans dowodził, że często bywa tylko dziesięciu lub piętnastu ludzi, a jednak wola większości obowiązuje całą dziesiątkę lub piętnastkę i każdy, kto sprzeciwi się tej woli, ponosi karę.

Edyta zobaczyła prostą, jasną drogę — nareszcie! Dennina trzeba powiesić. Hans wyraził zgodę. We własnym gronie utworzył większość gromady ludzkiej. Zbiorowa wola orzekła, iż morderca ma wisieć. Wprowadzając w czyn tę wolę Edyta chciała za wszelką cenę zachować formy zwyczajowe. Ale gromada ludzka była tak szczupła, że Nelsonowie z konieczności odgrywali role świadków, ławy przysięgłych, sędziów, ba! nawet katów.

Edyta formalnie oskarżyła Michaela Dennina o morderstwo Dutchy'ego oraz Harkey'ego i leżący na pryczy więzień wysłuchał zeznań — najpierw Hansa, później jego żony. Odmówił przyznania się lub nieprzyznania do winy i milczał uparcie, gdy kobieta spytała, czy podsądny ma coś na swą obronę. Z kolei Nelsonowie nie wstając ze stołków wydali werdykt ławy przysięgłych: winien. Wreszcie Edyta, jako sędzia, ogłosiła wyrok. Głos jej się trząsał, powieki trzepotały, lewa ręka drgała nerwowo, ale pani Nelson zdobyła się na wysiłek:

— Michaelu Dennin! Zostałeś skazany na śmierć. Za trzy dni będziesz powieszony.

Tak brzmiała sentencja wyroku. Więzień bezwiednie westchnął z ulgą. Później rozemśmiał się szyderczo i powiedział:

— No, przynajmniej ta choroba prycza nie będzie mi uciskać gnatów. Zawsze to jaka taka pociecha.

Po ogłoszeniu wyroku wszyscy mieszkańcy chaty odczuli odprężenie. Zwłaszcza dotyczyło to skazańca. Zniknęła jego pochmurna, zaciekła wrogość. Spokojnie rozmawiał ze strażnikami, a od czasu do czasu błyskał nawet dawnym dowcipem. Z przyjemnością też słuchał Biblii. Edyta czytywała mu Nowy Testament a Dennin najbardziej interesował się synem marnotrawnym i łotrem na krzyżu.

Dnia poprzedzającego wyznaczony termin egzekucji Edyta zadała swe zwyczajne pytanie:

— Czemu to uczyniłeś?

— Bardzo prosta sprawa — odpowiedział. — Przyszło mi do głowy...

Stanowczym tonem kazała mu milczeć, zaczekać chwilę i pobięła do pryczy męża. Hans był wolny od służby, toteż budząc się przecierał oczy i mamrotał gniewnie.

— Idź zaraz — rozkazała mu żona — sprowadź Negooka i jakiegoś drugiego Indianina. Michael chce odbyć spowiedź. Muszą przyjść. Weź strzelbę i przygnaj ich pod groźbą, jeżeli zajdzie potrzeba.

W pół godziny później Negook i jego wuj Hadikwan zostali wprowadzeni do celi śmierci. Przyszli niechętnie. Hans popędzał ich wycelowaną w plecy dubeltówką.

— Negooku — odezwała się Edyta. — Nie będzie zmartwienia dla ciebie ani twoich ludzi. Niczego od was nie chcemy. Usiądźcie tylko, słuchajcie wszystkiego i starajcie się zrozumieć.

W takich warunkach skazany na śmierć Michael Dennin odbywał publicznie spowiedź. Kiedy mówił, Edyta notowała jego słowa, Indianie słuchali, a Hans pilnował drzwi, bo oba-

wiał się, że świadkowie mogą czmychnąć.

Na początek morderca powiedział, że od piętnastu lat nie był w starym kraju, a zawsze miał zamiar wrócić tam z furą pieniędzy, aby swej starej matce zapewnić dobrobyt do końca życia.

— A jak mógłbym tego dokazać z głupimi szesnastoma setkami dolarów? — zapytał. — Cóż, chciałem mieć wszystko złoto, całe osiem tysięcy. Wtedy wróciłbym z fasonem. Przyszło mi do głowy, że to nic trudnego. Zabiję was wszystkich, w Skaguay zamelduję o napadzie Indian i zwięję do Irlandii. Więc wziąłem się do zabijania wszystkich, ale, jak lubił mówić Harkey, ukrajałem za duży kęs i udławiłem się, zanim go zdążyłem przełknąć. Koniec spowiedzi! Spełniłem obowiązek wobec diabła, a teraz jak Bóg pozwoli, spełnię obowiązek wobec Boga.

— Negooku i Hadikwanie — zwróciła się Edyta do Indian — słyszeliście mowę białego człowieka. Jego słowa są tutaj, na papierze. Musicie zrobić znak, o taki, na tym papierze, aby ci, co przyjdą, wiedzieli, że słyszeliście wszystko.

Siwashe nakreślili krzyżyki, obok swoich imion i Edyta pozwoliła im odejść, wprzód jednak zapowiedziała, by następnego dnia rano wrócili z całym plemieniem jako świadkowie dalszego rozwoju wydarzeń.

Denninowi na krótko oswobodzono ręce. Musiał przecie podpisać dokument. Później cisza zaległa w izbie. Hans był rozdrażniony. Edyta przygnębiona. Morderca leżał na wznak spoglądając prosto w pułap o szparach utkanych mchem.

— Teraz spełnię obowiązek wobec Boga — mruknął i zwrócił się do Edyty. — Poczytaj mi z książki — poprosił dodając zaraz półzartobliwym tonem — pomoże mi to chyba zapomnieć o tej przycy.

Dzień egzekucji wstał pogodny i zimny. Termometr wskazywał dwadzieścia pięć stopni niżej zera. Dał lodowaty wichur, przenikał odzież i ciało, mroził do szpiku kości. Pierwszy raz od wielu tygodni Dennin stanął na nogach. Mięśnie jego długo nie pracowały, a że odwykł od utrzymywania się w pozycji pionowej, przychodziło mu to z trudem. Chwiał się w tył i do przodu, aż wreszcie poszukał oparcia i skrępowanymi rękami uczepił się Edyty.

— Zupełnie, jakbym był zalany — roześmiał się głucho i zaraz dorzucił: — Lepiej, że to już koniec. Cieszę się. I tak zdechłbym na pewno na tej chorobnej przycy.

Kiedy Edyta włożyła mu na głowę futrzaną czapkę i zaczęła opuszczać nauszники, skazaniec roześmiał się znowu i zapytał:

— Po co tyle zachodu?

— Na dworze piekielnie zimno — odparła.

— Za dziesięć minut odmrożone ucho nie będzie ważne dla biednego Michaela Dennina — powiedział.

Edyta nastroiła nerwy przed ostatnią, straszliwą próbą, ale proste zdanie mordercy zadalo cios jej równowadze. Do tej pory wszystko odbywało się jak w upiornym śnie, lecz naga prawda ostatnich słów wstrząsnęła Edytą, kazała jej szeroko otworzyć oczy na realizm tego, co się dzieje. Irlandczyk nie przegapił jej zmieszania.

— Przykro mi, że cię zaniepokoiło moje głupie gadanie — powiedział zmartwiony. — Nic specjalnego nie miałem na myśli. To wielki dzień dla Michaela Dennina. Wesołym dziś jak szczygieł.

Zaczął gwizdać ochoczo, niebawem jednak zmienił ton na smutniejszy i zupełnie umilkł.

— Szkoda, że nie ma księdza — powiedział z żalem, lecz dodał bez namysłu. — No, ale Michael Dennin to stary wyga. W drodze na tamten świat obejdzie się bez ekstra wygód.

Był bardzo słaby i tak odwykł od chodzenia, że tuż za progiem omal go wiatr nie obalił. Edyta i Hans szli po dwóch stronach skazańca i podtrzymywali go silnie, on zaś żartował nieustannie, starał się rozweselić eskortę. Tylko raz nabrał powagi na czas wystarczająco

długi, by udzielić wskazówek co do przesłania jego udziału w złocie pod adresem matki zamieszkałej w Irlandii.

Nelsonowie i Dennin wspięli się na niewielki wzgórek i spośród drzew wyszli na polanę. Negook i Hadikwan i wszyscy Siwashe (do niemowląt i psów włącznie) otaczali kręgiem beczkę ustawioną denkiem do góry na śniegu. Byli skupieni uroczyści. Przyszli, aby przekonać się na własne oczy, jak działa prawo białego człowieka. Opodal widać było grób wypalony przez Hansa w zlodowaciałej ziemi.

Dennin spokojnym wzrokiem zbadał i rzeczowo ocenił przygotowania: grób, beczkę, grubość postronka, średnicę konara, do którego stryk był uwiązany.

— Jak Boga kocham, Hans, sam nie urządziłbym tego lepiej gdyby o ciebie chodziło!

Głośno roześmiał się z własnego dowcipu, ale twarz Hansa zastygła w upiorną, posepną maskę, która zdołałaby skruszyć chyba tylko trąby na Sąd Ostateczny. Poza tym Hansowi robiło się słabo. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwym wysiłkiem może być wyprawienie na tamten świat bliźniego. Edyta rozumiała to od dawna, lecz rozumienie wcale nie ułatwiało jej zadania. Dręczyła ją niepewność, czy zdoła utrzymać się w garści, doprowadzić całą rzecz do końca. Raz po raz kusilo ją coś, żeby zawyć, krzyknąć, żeby rzucić się na śnieg albo zasłoniwszy oczy rękami odwrócić się na pięcie i pomknąć na oślep, uciec do puszczy, dokądkolwiek, byle dalej i dalej. Potężnym wysiłkiem woli panowała nad sobą. Wyprostowana szła naprzód. Robiła to, co musiało być zrobione. Pośród szalonej zawieruchy uczuć była wdzięczna Denninowi za pomoc, której udzielił oprawcom, w miarę możliwości.

— Daj no mi rękę — powiedział do Hansa i korzystając z tej podpory wgramolił się jakoś na beczkę.

Schylił się, żeby Edycie łatwiej było założyć pętlę na jego szyję. Później stanął znów prosto, kiedy Hans uwiązywał postronek do konara nad jego głową.

— Michaelu Dennin! Czy masz coś do powiedzenia? — zapytała Edyta donośnym, lecz rozdygotanym głosem.

Stojący na beczce skazaniec zaczął przestępować z nogi na nogę.

Wstydliwie spuścił oczy, jak żółtodziób, który ma wygłosić pierwszą w życiu mowę.

Odchrząknął raz i drugi.

— Lepiej, że to już koniec — powiedział wreszcie. — Obeszliście się ze mną po ludzku. Z serca wdzięczny jestem za waszą dobroć.

— Oby Bóg przyjął cię jak skruszonego grzesznika — powiedziała Edyta.

— Aha — głęboki bas odpowiedział wysokiemu głosowi kobiety. — Oby Bóg przyjął mnie jak skruszonego grzesznika.

— Żegnaj, Michaelu! — krzyknęła rozzwierając, żałośnie.

Cieżarem całego ciała runęła na beczkę, lecz beczka nie upadła.

— Hans! — zawołała omdlewającym tonem. — Hans! Tutaj! Prędszej!

Czuła, że opuszczają ją siły, a beczka wciąż stawia opór. Nelson skoczył na pomoc, wytrącił podporę spod nóg Michaela Dennina.

Kobieta odwróciła się, uszy zatkała palcami. Potem wybuchnęła śmiechem — ostrym, przeraźliwym, metalicznym śmiechem. Hans przeraził się tak, jak ani razu w czasie długiej tragedii. Nadeszło ostateczne załamanie Edyty Nelson. Mimo ataku histerycznego zdawała sobie z tego sprawę i była szczęśliwa, że wytrzymała pod brzemieniem do ostatka. Zatoczyła się w stronę męża.

— Weź mnie do chaty, Hans — zdołała wyjąkać.

— I pozwól mi odpocząć — dodała. — Ach, pozwól mi spać, spać, spać!..

Odeszła po śniegu. Mąż otoczył ją ramieniem, podtrzymywał z całej mocy, kierował chwiejnymi krokami. Ale Indianie pozostali. W skupieniu patrzyli jak działa osobliwe prawo białych, które każe człowiekowi wykonywać dziwaczny taniec w powietrzu.

*Tłumaczył Tadeusz Jan Dehnel*

JANE HOPE

## SUKCES BILLA WARDERA

POSTERUNKOWY Bill Warder zatrzymał się na rogu wąskiej uliczki Amery Lane, stanowiącej granicę jego rejonu, spojrzął w lewo i w prawo, lustrując dobrze mu znane budynki. Skąpe światło rzadko rozstawionych latarni pozwalało stwierdzić, że wszystko jest w porządku. Uliczka była pusta. Pociemniałe mury starych, niewielkich kamieniczek wyglądały w mrocznym oświetleniu jak dekoracja teatralna. Zupełnie jak w filmie, na którym był w sobotę z Bessie. Jakże on się nazywał? „Przygoda w wielkim mieście” — tak. Bardzo się Bessie podobał. Lubiła filmy romantyczne. Wielka miłość, tragedia oczywiście happy end.

Odsunął trochę czapkę z czoła i otarł pot. Parna noc, lipiec, nic dziwnego. Nastawiając rękę w kierunku światła latarni, spojrzął na zegarek. Pierwsza trzydzieści. Służba kończy się o czwartej rano. Westchnął, odwrócił się i znowu wolno krok za krokiem zaczął iść w górę Baker Road. Lubił tę swoją dzielnicę. Znał tu wszystkich i jego wszyscy znali. Policjantem był już od wielu lat, wstąpił do służby w 46 roku. Miał dobrą opinię u swoich przełożonych, ale jakoś nie awansował. Porucznik Philpott nieraz mówił do sierżanta Mc. Dougalla:

„Warder to porządny chłop i właściwie trzeba by dla niego coś zrobić. Ale jak takiego awansować? Za mądry nie jest gdybyśmy go przenieśli do innej służby, wątpię, czy dałby sobie radę. Jako dzielnicowy jest całkiem na miejscu, ludzie go chwalą”.

Kościsty i małomówny Szkot Mc. Dougall mruczał pod nosem na tym rozmowa się kończyła.

Warder zatrzymał się nagle i wyteżył wzrok. W cieniu przeciwległej bramy coś się poruszyło. Nie spiesząc się, przeszedł przez jezdnię i zbliżył do bramy. Duże czarne kocisko wyskoczyło mu spod nóg i umknęło w mrok. Dla spokoju sumienia zajrzał jeszcze do bramy, ale oczywiście nic w niej nie było. Tak, to była spokojna dzielnica. Jakoś szczęśliwie gang Rudego Lee nie interesował się nią i grasował w innych rejonach.

„Cholera, co z tym Alem” — pomyślał. Młodszy brat Billa, Al, ostatnio stał się bardzo tajemniczy. Mieszkali razem. Od czasu śmierci rodziców Bill uważał za swój obowiązek zająć się bratem. Ostatecznie, tylko ich dwóch z rodziny zostało na świecie. Żeby tylko ten Al nie wmieszał się w jakąś głupią historię Nigdy nie mógł zrozumieć tego chłopaka. W szkole zawsze miał przyjaciół wśród największych zabijaków i nieuków. Przez dwa ostatnie lata trochę się ustatkował, ale od kilku tygodni Bill miał znowu powód do niepokoju. Dobrze choć, że Bessie go zawsze pocieszała: „Nie martw się — mówiła — Al to porządny chłopak. Jestem przekonana, że nic złego nie robi. Możesz wierzyć mojej kobiecej intuicji — zakochał się pewnie w jakiejś dziewczynie i biega do niej”.

Doszedł do skrzyżowania Baker Road i Yronmongers Walk. Skręcił w lewo. W ciszy słychać było tylko jego spokojne, miarowe kroki. Przystanął. W pobliżu zawarczał silnik samochodu, rzecz niezwykła o tej porze i w tej dzielnicy. Hałas zbliżał się. Bill miał ruszyć dalej, kiedy jego uszu dobiegł ostry, jak strzelanie z bata, odgłos strzałów. Tak, bez wątpienia, strzelają, Strzały i gwizdki. Wyjął gwizdek z kieszonki i trzymając go w zębach, gwizdząc przeciągle, pobiegł w kierunku Baker Road. Zatrzymał się przy narożniku i ostrożnie wychylając głowę spojrzął na ulicę. Z ogromną szybkością zbliżający się samochód zarzucił na zakręcie i zahamował z przeraźliwym piskiem opon o kilkadziesiąt metrów od niego. Czarna, potężna maszyna zatrzymała się, stając prawie w poprzek ulicy. Z nieoświetlonego wnętrza co chwilę wyskakiwały ogniki wystrzałów. Strzelał w przeciwną stronę Baker Road.

Gończkowo odpiął kaburę i wyciągnął błękitnawo połyskujący rewolwer. Odsunął bezpiecznik i starannie mierząc w otwarte boczne okno samochodu, wystrzelił.

„Cholera, patrzcie, tam jeszcze jeden!” — usłyszał okrzyk. Pięć pocisków wykrzesало iskierki o parędziesiąt centymetrów od niego. Cofnął się. Wisząca nad skrzyżowaniem lampa rozbłysła nagle i zgasła uderzona kulą. Pasażerowie czarnego Forda doszli widocznie do przekonania, że w ulicy jest zbyt jasno, bo w parę sekund później Warder usłyszał brzęk szkła drugiej rozbijanej lampy. Znalazł się w niekorzystnej sytuacji. Świecąca za jego plecami lampa stwarzała niebezpiecznie jasne tło. Jeśli teraz wychyli się choćby trochę, przeciwnicy zorientują się w tym natychmiast i jego ciemna sylwetka stworzy dla nich doskonały cel. Cofnął się więc od rogu, odwrócił, podniósł rewolwer i strzelił, rozbijając lampę za trzecim strzałem. Gdzieś nad sobą usłyszał stłumiony okrzyk przerażenia. Widocznie któryś z mieszkańców zbudzonych hałasem doszedł do wniosku, że walka przeniosła się teraz na jego ulicę. W zupełnej już teraz prawie ciemności, rozjaśnionej tylko słabo widocznymi nad miastem gwiazdami, Warder podsunął się znowu do rogu. Sytuacja prawie nie uległa zmianie. Tylko gwizdki policjantów słychać było bliżej i strzały padające w kierunku samochodu stały się częstsze. Z oddali dobiegł głos syreny policyjnego auta. Nadciągały posiłki. Bill klęknął przy ścianie i zaczął strzelać w kierunku czarnego Forda. Wystrzelił trzy razy i pospieszenie wyrzucił próżny magazynek wsuwając ze szczękiem nowy. Strzelając raz po raz i co chwilę cofając głowę za bezpieczną ochronę muru, zastanawiał się, czemu nikt nie wpadnie na pomysł, żeby okrążyć bandytów i zaatakować ich z tej strony, po której on się znajduje.

Strzały z samochodu na chwilę ustały. Wychylił się znowu i zobaczył, że dwóch mężczyzn ostrożnie wyczołguje się z wnętrza wozu. Uchylone drzwi stanowiły tarczę chroniącą ich przed padającymi pociskami. Wycelowwał starannie, mierząc przestrzeń mającą między drzwiczkami auta i brukiem. Strzelił. Usłyszał stłumiony jęk. Ale już w jego stronę posypał się grad pocisków. Przywarł do muru. Syrena policyjnego wozu była przeraźliwie, zbliżając się do miejsca walki. Usłyszał za sobą tętent biegnących kroków. Zrobił gwałtowny obrót, podnosząc rewolwer. W półmroku błysnęły guziki munduru. Bill poznał posterunkowego sąsiedniego rejonu, Johna Crusta.

— Psst — zawołał po cichu — Crust, tutaj. Oni są za rogiem uważaj.

Policjant zaczął biec na palcach. Wyglądał tak komicznie, zataczając się jak ogromna, granatowa kaczka, że Bill o mało nie roześmiał się na głos.

— Co się dzieje? — pytał zdyszczanym głosem Crust. — Miałem kłopot z jakimś pijakiem, inaczej byłbym tu już dawno. Co to za strzelanina?

— Nie mam pojęcia — odparł Warder — jacyś goście w wielkim Fordzie jechali w tę stronę i ostrzeliwali się. Zatrzymał się o kilkadziesiąt metrów stąd. Wyjrzyj, tylko ostrożnie.

Crust wychylił głowę zza muru.

— Człowieku! — zawołał podnieconym szeptem — to musi być wóz Rudego Lee. Już go kiedyś widziałem!

— Jeden Ford jest w Stanach?

— Ten jest trochę inny niż seryjne wozy. Przerabiano go specjalnie dla Rudego. Taka gangsterska fantazja.

Rozmowę przerwał ogłuszający huk i krwawy blask rozwidnił ulicę.

— Granat — wykrzyknął Bill i wychylił się zza rogu.

Samochód płonął. Niespokojnie skaczące płomienie ogarniały go coraz śmielej. W ich zmiennym świetle zobaczył, że jeden z mężczyzn przeczołgał się bliżej krawężnika i tak ukryty, strzelał.

Zaraz, gdzie jest ten drugi? Wytężając oczy przyglądał się ceniom groteskowo podrygującym na murze. Obok samochodu, na ziemi? Nie. W środku przecież nie może być. Widział sam, jak wychodzili obaj. Crust szarpnął go za ramię i zawołał:

— Patrz, patrz, tam, ucieka!

Pod murem, po przeciwnej stronie Baker Road, wykorzystując każdy załom i każdy cień, przemykała się postać mężczyzny z podniesionym kołnierzem marynarki i w nisko nasu-

niętym na oczy kapeluszu.

Bill zdecydował się od razu.

— Zostań tu, Crust — powiedział — pilnuj, żeby ten drugi się nie wymknął, ja pobiegnę za tym.

Pochylony do przodu przebiegi ulicę. Biegnać, powtarzał pod adresem nieznanego mu wroga, leżącego teraz obok samochodu: „Nie strzelaj, nie strzelaj”. Dopadł do muru i ciężko dysząc zatrzymał się na chwilę, usiłując wypatrzeć w ciemnościach sylwetkę uciekającego. Jest! Bill ruszył w jego kierunku. Pół idąc, pół biegnąc, trzymając rewolwer w prawej ręce, posuwał się dosyć szybko. Nie mógł przyspieszyć kroku z obawy, żeby nie zwrócić na siebie uwagi drugiego przestępcy, który widocznie ubezpieczał ucieczkę swego towarzysza. Nie zauważył go chyba, bo ani jeden strzał nie padł w kierunku Billa. Oddalili się już blisko, o sto metrów od miejsca walki, kiedy przestępca skręcił w boczną uliczkę. Bill zaczął biec.

Żeby go teraz tylko nie stracić z oczu. W tych ciasnych pokręconych uliczkach, zamieszkałych przeważnie przez biedotę, łatwo było zgubić prześladowcę. Ale Bill znał każdy zaułek i każdy prawie dom. Jeszcze z czasów młodości, kiedy jego rodzice tu mieszkali, bawił się z chłopakami w policjanta i złodziei. Tak jak dzisiaj. Tylko ta dzisiejsza zabawa nie była już taka przyjemna.

Dobiegł do ulicy, w którą skręcił uciekinier. No, dobra. Biegnie skulony, pochylony. Bill, nie zatrzymując się, strzelił mierząc w niepewny cel. Chybił widocznie, bo przestępca tylko przyspieszył kroku. Sytuacja stała się dziwaczna. Bill miał wrażenie, że przeżywa jakiś dręczący sen. Pusta, na wpół ciemna ulica — cisza przerywana tylko odgłosem jego kroków i ten szybko migający w oddali cień przestępcy. Aby przerwać nieznośne napięcie, usiłował zawołać na uciekającego. Był jednak tak zdyszany, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nagle cień skręcił do bramy i znikł. Bill, mimo zmęczenia, przyspieszył kroku. Znał ten dom. Po przejściu sieni wychodziło się na ciemne podwórko, które tylko niski murek oddzielał od sąsiedniego ogrodu, skąd łatwo już było wydostać się na następną ulicę i zniknąć.

Dobiegł do bramy, kiedy przypomniał sobie, że przestępca mógł tam urządzić zasadzkę. Zatrzymał się. Wrócić i zameldować, że przestępca uciekł. Ostatecznie to ich wina, do choleury. Mogli z drugiej strony posłać kilku ludzi, to by się gościowi nie udało zwiać. Podniósł rękę, żeby wytrzeć pot z czoła. Widok rewolweru, o którym zapomniał, nasunął mu wspomnienie sierżanta Mc. Dougalla. Mruknie pewnie tylko:

„No tak, Warder, nie mam do was pretensji, zrobiliście, co było możliwe, prawda?”

No, więc zrobi, co będzie możliwe. Niech szlak trafi tego Mc. Dougalla, zawsze umie tak człowieka wyżyłować, że mu się wszystkiego odechce.

Wyjął latarkę z torby i trzymając ją w lewej ręce podszedł do bramy. Krążek światła wędrował po progu niepewnie i ostrożnie. Co to jest? Ciemne, tłuste krople krwi odbiły blask. Bill stojąc w progu śledził wąskim promieniem światła krople wskazujące drogę w głąb sieni. Zapomniał nawet, że na jaśniejszym tle bramy może przedstawiać dogodny cel, jeżeli przestępca rzeczywiście zaczął się na niego. Wszedł do bramy. Szedł teraz pewnie, szybko, podążając do wyjścia na podwórze. Staął. Ślady krwi skręcały w kierunku schodów. A więc jednak przestępca nie wybrał drogi przez mur. Świecąc ostrożnie, tylko na metr lub dwa przed sobą, Warder szedł po śladach. W klatce schodowej było zupełnie ciemno. Czy przestępca wyłączył światło, czy też po prostu lokatorzy porozbijali żarówki w czasie jednej z licznych tu pijatyk i awantur?

Za każdym zakrętem, na każdym podejściu, za każdymi drzwiami mógł kryć się uciekinier, który już nic nie miał do stracenia. Schody, brudne i zaśmiecone, skrzybiały przeraźliwie, mimo że Warder stawiał nogę na każdym stopniu tuż przy ścianie, spodziewając się w ten sposób zmniejszyć hałas. Dom był pozornie zupełnie cichy i uśpiony, ale Warder wyczuwał jakieś napięcie, jakąś wrogość całego otoczenia w stosunku do siebie. Podchodząc do podestu pierwszego piętra, z którego biegł obie strony budynku wąski korytarz, wyłączył



latarkę. Przystanął i nasłuchiwał. Cisza. Ani szeptu, ani oddechu. Błysnął na sekundę latarką, żeby sprawdzić, co dzieje się ze śladami krwi. Trzy czy cztery krople jeszcze świeże i wilgotne połyskiwały na trzecim stopniu schodów wiodących na następne piętro.

Zgasił światło i jak poprzednio, krok za krokiem, powstrzymując oddech, przenosząc ciężar ciała ze stopnia na stopień, szedł wyżej. W nieprzeniknionych ciemnościach usłyszał szelest. Zatrzymał się. Cisza. Jego własny oddech wydawał się teraz przeraźliwie głośny. Poszedł dalej.

Skrada się jak złodziej, jak wtedy, kiedy chciał zaskoczyć Bessie z tym młokosem ze sklepu spożywczego. Stary dureń. Nic między nimi nie było. Kiedy gwałtownie otworzył drzwi pokoju bawialnego, Bessie siedziała na fotelu z robótką w ręce, a ten smarkacz opowiadał jej coś z zapalem. Musiał mieć głupią minę, bo Bessie powiedziała: „Co ty masz za dziwaczny wyraz twarzy? Pan Artur opowiada mi...” Urwała, bo młody człowiek dawał jej rozpaczliwe znaki. Później się wyjaśniło. Bessie zabrała się do swatania Artura z jakąś swoją przyjaciółką i to było wszystko. Na chwilę zapomniał gdzie się znajduje, myśląc o tym, jak mu było głupio wobec Bessie. Nie przyznał jej się nigdy do swoich podejrzeń.

Drugie piętro. Jeszcze tylko kilkanaście schodów i strych, zaświecił latarkę. W sekundę później jakaś potężna siła wyrwała mu ją z ręki. Usłyszał huk i poczuł, jak pocisk rozdarł mu mundur, uderzając za nim o ścianę. Cofnął się o krok i czekał, zupełny spokój, jakby incydent sprzed kilku chwil był złudzeniem. Poczul w sobie dziwną zawziętość. Skończyło się myślenie o Mc. Dougallu, czy Bessie. Teraz było tylko ich dwóch. On i tamten, ukryty na górze. Tylko jeden z nich dwóch może wyjść stąd.

Centymetr po centymetrze, trzymając rewolwer w pogotowiu posuwał się do przodu. Czarna czeluść klatki schodowej nie zdradzała żadnego śladu życia. Postawił nogę na pierwszym stopniu. Pomału przenosił na nią ciężar ciała i oderwał drugi nogę od ziemi, stawiając ją na następny stopień. Zeschnięte deski zaskrzypiały. Znieruchomiał. Nic. Po kilku sekundach wchodził wyżej. Nie kończąca się cisza i napięcie stały się tak nieznośne, że zapragnął nagle, aby tamten zaczął już strzelać. Niech się coś stanie, jakiś ruch, jakieś gwałtowne zdarzenie, byle przerwać tę ciszę i to napięcie, zdradliwe milczenie.

Jeszcze trzy stopnie, jeszcze dwa, jeden. Już. Stał na wprost ledwo majaczących w błękitnawym świetle nocy, wpadającym przez małe okienko, drewnianych drzwi wiodących na strych.

Ile ma jeszcze naboju w magazynku? Nie mógł sobie przypomnieć. Podniósł rękę i usiłował dojrzeć, która jest godzina. Światło było jednak zbyt słabe albo oczy Billa zbyt zmęczone i zdawało mu się, że wskazówki zegarka tańczą na tarczy. Właściwie to nonsens patrzeć, która jest godzina, nawet jeśli miałyby być ostatnią.

Podszedł do drzwi.

Położył rękę na klamce i wolnym ruchem przycisnął ją. Drzwi ustąpiły bez oporu. Otwierał je wolniutko, w każdej chwili oczekując błysku i huku. Stał trochę z boku, tak, aby możliwie najmniej wystawiać się na cel. Teraz przyszedł najgorszy moment. Na to, żeby wejść do środka, trzeba było choćby na chwilę stanąć w obramowaniu drzwi. Jak zająć na tarczy w lunaparku. Zacisnął zęby i z szybkością, której by się po nim nikt nie spodziewał, zrobił dwa kroki. Jednym stanął na progu, drugi przeniósł go już we względnie bezpieczną ciemność strychu. Dlaczego on nie strzela? Dlaczego nie strzela? Przecież to była dla niego wymarzona okazja.

Na strychu było duszno. Zapach starego drzewa i kurz pomieszany z nieokreśloną wonią nędzy, dławili w gardle. Warder rozglądał się, usiłując dostrzec ślad zbiega. Na lewo od niego, za kominem, coś się poruszyło. Nie mierząc wystrzelił w tym kierunku. W ułamek sekundy później błysk strzału z rewolweru przestępcy rozdarł ciemności. Pocisk miękko uderzył w drewnianą ścianę, obok głowy Billa. Skoczył do przodu, chowając się za ciężką skrzynię, która wydała pusty, głuchy odgłos. Bezpośrednio po tym padł nowy strzał, który

odłupał kawałek drzewa ze skrzyni. Gorąco zaczyna się robić, pomyślał. Odczekał chwilę i strzelił w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, padł ostatni strzał.

Ile mam jeszcze naboji, cholera, ile mam jeszcze naboji. Dwa albo jeden. Ostatnie. Zapasowy magazynek zużył w czasie walki na Baker Road. Jakże to się wydawało teraz zwyczajne, proste i tak niesłychanie odległe.

Co robić dalej? Ten, kto pierwszy zdradzi swoją obecność, ma ogromną szansę na kulę. Przestępca musiał myśleć tak samo, bo nie poruszał się. Bill czuł ogarniające go zdenerwowanie. Jeżeli tamten nie zacznie, jeżeli się nie ruszy, ja będę musiał. Będę musiał! Jeszcze chwila i zacznie krzyżeć. Nigdy nie przeżywał dotąd tak dziwnego uczucia.

Coś gwizdnęło w powietrzu i jakiś ciężki przedmiot przeleciał mu nad głową. Zachnął się i odruchowo spojrzął za siebie. Zorientował się zaraz w manewrze wroga, ale było już za późno. Dopiero w tej chwili spostrzegł, że w dalszej części strychu widnieje otwór wiodący na dach. Przez sekundę tylko nogi tamtego, rozkołysane wysiłkiem, zamajaczyły mu na tle nieba i strzelił w ich stronę bez zastanowienia, jednak bez rezultatu. Przestępca uciekł. Bill zerwał się i podbiegł do otworu. Musi wydostać się na dach i ścigać tamtego. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, skorzystał z drabinki, jaką stanowiły nagromadzone skrzynki, i podobnie jak jego poprzednik podciągnął się na rękach. Przydała mu się zaprawa fizyczna, jakiej nie żałował im Mc. Dougall. Noc była jeszcze ciągle ciemna. W międzyczasie nadciągnęły czarne, gęste chmury i pokryły całe niebo nieprzenikliwą warstwą.

Dach był niezbyt stromy, ale Bill nie czuł się dobrze na podobnych wysokościach. Stał na czworakach, ukryty za ciemną bryłą komina i rozglądał się ostrożnie. Zza pasa wyjął rewolwer, który tam umieścił wychodząc na dach. Tak, ta walka musiała być ostateczna. Oba domy sąsiadujące z tym, na którego dachu znajdowali się, były o dwa piętra wyższe. Ich gołe ściany nie dawały żadnej możliwości wdrapania się na nie.

„Musiałby być chyba muchą” — pomyślał z zawziętością. Na tych kilkudziesięciu metrach kwadratowych rozstrzygnie się teraz nocny pojedynek.

Po niebie, gdzieś daleko, przebiegła błyskawica. Grzmot przetoczył się nad dachami miasta. Nadchodziła letnia burza. „Zaczekam do następnej błyskawicy” — pomyślał — „może go zobaczę”. Wielkie krople deszczu zaczęły początkowo wolno, potem coraz szybciej uderzać o blaszany dach. Z przyjemnością poczuł ich chłód na rozgrzanej skórze twarzy i rąk. Razem z ulgą przyszło przeświadczenie, że zwycięży, że noc dzisiejsza będzie nocą wielkiego sukcesu. Teraz awans musi dostać, to pewne.

Nowa błyskawica przemknęła po chmurach. O kilka kroków dalej, przy sąsiednim kominie, dostrzegł sylwetkę człowieka, na którego polował. Podniósł uzbrojoną rękę i pociągnął języczek spustowy rewolweru. Cisza. Jeszcze raz. Koniec. Nie miał ani jednego naboju. Ogarnęła go rozpacz.

„Sukces! Będziesz miał sukces, jak cię ten drań ukatrupi! Było mu już wszystko jedno. Wstał i pobiegł w kierunku wroga. Tamten nie strzelał. Bill zrozumiał: nie tylko jemu zabrakło naboji. Dopadł swego przeciwnika i w mściwym milczeniu rzucił się na niego. Tamten był silny, zwinny i gibki. Walczyli nie mówiąc ani słowa, wśród ulewnego deszczu i ponurych grzmotów przewalającej się nad nimi burzy. Bill z dziką zawziętością, przypominając sobie wszystko, czego uczyli go na kursach w policji, bił i kopał swego przeciwnika, czując w sobie taką nienawiść do tego człowieka, że prawie jęczał z pasji i wściekłości. Ale tamten nie był gorszy. Na każdy cios Billa odpowiadał nie mniej bolesnym, z każdego chwytu wykręcał się, giętki i przebiegły jak dzikie zwierzę.

W pewnej chwili, kiedy stali naprzeciw siebie, bezskutecznie usiłując zmusić jeden drugiego do upadku, ogromna błyskawica oświetliła ich twarze. Bill powiedział jakimś zupełnie obcym głosem:

— To ty?! — i zrobił krok do tyłu.

Pośliznął się, upadł i zaczął się staczać z mokrego dachu. W ostatnim momencie,

szukając ratunku, chwycił swego przeciwnika za nogi i ze straszliwym łoskotem stoczyli się obaj w dół. Bill Warder i jego brat Al.

RAFAŁ MACIEJEWSKI

## ZŁOTO TETONA

### I

Nazywam się Jan Gwalbert Pilecki. Lat dwadzieścia dziewięć. Pracuję w Rozgłośni Polskiego Radia — Wrocław. W tym roku po raz pierwszy wziąłem udział w światowym konkursie UNESCO dla reporterów radiowych. W eliminacjach krajowych stuwyrzowy komunikat sportowy skróciłem bez szkody dla treści do 32 słów. Dopuszczono mnie do półfinału. Stojąc na Place Pigalle w Paryżu nagrałem w ciągu kwadransa głosy czterdziestu dwóch różnych osób w ośmiu językach. Znalazłem się w finale. Było nas już tylko czterech. Finnetey z Hollywood, Duvivier z prywatnej rozgłośni belgijskiej, Japończyk Tsuruga oraz ja. Stanęliśmy przed stolikiem jury w gmachu rozgłośni nowojorskiej. Niewiele widziałem pośród błysków fleszów. Siwy Grosvenor, dyrektor RCA i przewodniczący jury przedstawił nas słuchaczom radiowym, po czym zwrócił się do nas. Gratulował sukcesu, jakim było pokonanie dwunastu tysięcy współzawodników. Życzył powodzenia w decydującym etapie. Złamał pieczęcie koperty. Odczytał treść decydującego zadania:

— Przeprowadzić wywiad z dowolną osobą. Nagranie na taśmie. Termin sto minut. O zwycięstwie rozstrzyga plebiscyt radiosłuchaczy.

Wręczono nam magnetofony. Wepchnąłem rolki taśm do kieszeni. Porównałem zegarek z chronometrem sędziów. Grosvenor uderzył w gong i sto minut zaczęło płynąć. Pobiegliśmy ku drzwiom. Duvivier potknął się o kable. Biegłem przez hall z głową pełną pomysłów. Odrzucałem je natychmiast. Czym wziąć publiczność? Wywiadów z politykami i artystami nikt już nie chce słuchać. Może z windziarzem z Empire, z clownem cyrkowym, z zamiataczem ulic, z kokotką z portu? Wszystko było! Moi konkurenci wskoczyli już do wozów. Przepadli w rzece pojazdów.

— EVENING POST! — krzyknął mi nad uchem gazeciarz. — „Czy jest życie w kosmosieeee...”

— Już wiem! — szepnąłem. Wskoczyłem do auta.

— Parkdown! — rzuciłem szoferowi.

Ośrodek Doświadczalny Lotów Raketowych — myślałem. — Stłumiony głos pilota poprzez hełm tlenowy. Wizgot silników, sygnały radiowe. Pokrzykiwania ludzi z obsługi. Ruch i szcęk narzędzi...

Vivian la Gorce, kapitan, odsunął z czoła plastikową kopułę. Wysoki kołnier z mikrofonem zasłaniał mu usta. Uśmiechał się niebieskimi oczyma. Widziałem zmarszczki biegnące od powiek.

— Jest pan rekordzistą — mówiłem — człowiekiem, który wzniósł się najwyżej. Chwilę trwało milczenie.

— Yes — powiedział z uśmiechem. Odpinał klamry pasa.

— Dwieście kilometrów? — podsuwałem.

— Yes — zgodził się odkładając pas. Nie usiłował nawet mnie poprawić.

— Ściśle 210321, prawda?

— Yes — skinął głową.

— Jak tam wygląda niebo? Gwiazdy? A ziemia? Wklęsła czy wypukła? Był pan przytomny?

— O, yes! — odparł z ożywieniem. Zwijał na palcu kabel doprowadzający prąd do skafandra. Rozsiadł się w fotelu.

Przez okno pokoju pilotów dolatywał wysoki ton silnika startującej maszyny. La Gorce obejrzał się w tamtą stronę. Zamilkł.

— Czy boi się pan czasem?

Wzruszył ramionami.

— Jakież pana przeżycie... Może opowie pan radiosłuchaczom?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Rozłożył dłonie.

— Nie miał pan wypadku?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Widzę tu jakieś samoloty — wskazałem srebrzyste modele wiszące na nitkach u sufitu. — Pan je oblatywał?

Uśmiechnął się potakująco spod okapu hełmu.

— A to jest X-21?

— Yes!

— Napęd rakietowy?

— Yes!

— Maszyna-rekordzistka?

— O, yes, yes!

Spojrzałem na zegarek. Było zaledwie tyle czasu, aby powrócić do miasta i oddać w rozgłośni pustą taśmę.

— Do widzenia, La Gorce.

Poderwał się z fotela. Uściśnął mi dłoń. Wszystko przepadło! Zacisnąłem szczęki. Gdybym przynajmniej nie wyjeżdżał z miasta... Byłby jeszcze czas na złapanie kogoś w barach, w metrze, na ulicy. Wyjechaliśmy na autostradę. Trzymałem magnetofon na kolanach. Nacisnąłem guzik i taśma pobiegła do tyłu wymazując zapis. Patrzyłem przez okno. NEW YORK CITY 65 KM — przeczytałem.

Kierowca nacisnął hamulce. Pisnęły opony. Na boku stał Chrysler. Uchyliłem drzwiczki. Wysoki, stary mężczyzna dotknął palcem runda kapelusza. Wystawały spod niego siwe włosy.

— Sorry — powiedział. Opierał się na lasce. — Spieszę się ogromnie. W ciągu pół godziny pękły mi dwie gумы. Ma pan też Chryslera. Proszę pożyczyć mi zapasowe koło.

— Oczywiście — odparłem.

— George! — zawołał swego szofera.

— Ratuje mnie pan z wielkiego kłopotu — położył mi dłoń na ramieniu. — Muszę być zaraz w mieście. Czy mógłbym się jakoś odwdziżyć?

— Nie mam nic do stracenia — pomyślałem.

— Tak! — odezwałem się głośno. — Ja też mam prośbę!

— Well! — powiedział. — Sięgnął do kieszeni. Wydobył książeczkę czekową.

— O, nie tak! — roześmiałem się. — Chodzi o to...

Powiedziałem wszystko o konkursie.

— O key! — rzucił krótko. — Zrobimy, co można. Dawaj pan magnetofon. Ale muszę być sam, łatwiej mi się skupić. Niech pan jedzie za mną.

Pałę papierosy — jednego za drugim. Poprzez szybę wozu wpatrywałem się w czarny bagażnik Chryslera uwożącego, być może, los konkursu.

Widziałem, jak jarzą się pomarańczowe kręgi jego świateł hamulcowych. Gaśły z wolna i samochód nabrał szybkości, zmalał i uciekł ku horyzontowi, zza którego wyrastały betono-

we ściany miasta. Wpadliśmy w sznur pojazdów. Chrysler zniknął mi z oczu. Ujrzałem go na pięć minut przed terminem oddania taśmy. Stał w niedozwolonym miejscu tuż przed skrzyżowaniem. Starzec z laską wysiadł na chodnik. Policjant sprawdzał papiery wozu. Starzec kiwał ręką, abym się nie zatrzymywał. Przejechaliśmy wolno obok. Podał mi magnetofon. Wciągnąłem go przez okno.

— Poszła cała taśma! — krzyknął. Został z tyłu.

Widziałem, jak wsiadał do Chryslera i skręcił w Czterdziestą.

Na dwie minuty przed terminem przeskoczyłem sześć schodów wiodących do rozgłośni. Pchnąłem drzwi. Pospieszne kroki rozległy się echem w marmurowym hallu. Wind nie było na dole. Wbiegłem na siódme piętro i wpadłem do pokoju 701. Rzuciłem się na krzesło. W sekundę później rozległ się terkot dzwonka chronometru. Termin upłynął. Oddałem wszystko sekretarzowi konkursu. Finnetey, Duvivier, Tsuruga już tu byli. Podeszli do mnie, gdy dopełniałem formalności.

— Masz coś ciekawego? — spytał Finnetey.

— Nie wiem — odparłem. Nie mam pojęcia co tam będzie. Może przemówienie wyborcze?

\* \* \*

W trzy dni później rozgłośnie nadały pierwszą audycję konkursową Toma Finneteya. Był to wywiad z załogą kubańskiego kutra w porcie nowojorskim. Taśma zapisała wszystkie hałasy portu, awanturę w kambuzie, nawet odgłosy uderzeń, którymi kok tresował pomocnika. Przy dźwięku wybijanych korków i bulgocie napojów szyper mówił o przeżytej burzy. Śpiewali marynarze. Finnetey opisywał ich gęby... — słuchałem nagrania i wszelka nadzieja uciekała mi z serca.

Nazajutrz prezentowano Duviviera. Rozmowa z pięcioletnią dziewczynką. Cienki głosik. Kocha misia. Czy wierzy w teorię snów? Wierszyk. To weźmie publiczność — myślałem. Brałem się za skronie.

Trzeciego dnia Tsuruga. Wyszedłem na miasto. Włóczyłem się w tłumie. Jutro zrobię to samo — postanawiałem. — Wolę nie słyszeć, co mi tam nagadał...

Znalazłem się jednak w studio. Członkowie jury tonęli w fotelach. Przyćmiono światła. Zamknięto szczelnie drzwi. W półmroku lśniły światła butelek na podręcznych stolikach. Dym papierosów wił się spiralami. Patrzałem w głośnik. Zapowiedź speakera. Szmer krząków magnetofonu. Zesztywniałem w fotelu. Nie było już odwrotu. Rozległ się stłumiony szum silnika i ciężki oddech. Za blisko trzyma mikrofon — pomyślałem.

Niski, głęboki głos rozpoczął opowieść. Mówił przyciszonym tonem, nie spiesząc się, tak jakby był jednym z siedzących tu w fotelu. Usłyszeliśmy coś najmniej spodziewanego. Historię z ubiegłego stulecia, której towarzyszyły sygnały aut, łoskot kolejki elektrycznej, hałas nowojorskich ulic. Zaciskałem palce na oparciach fotela. Wsunąłem się głęboko, zamknąłem oczy. Ujrzałem go jak chudy, zgarbiony, wsparty na lasce, pochyła się ku puszcze mikrofonu i patrząc spod pobielających brwi mówi...

## II

W roku 1895 byłem uczniem świeckiego kolegium w San Francisco. Nie ma dziś podobnych zakładów. Mieszkaliśmy w internacie. Mimo naszych osiemnastu lat karano nas trzcina. Bito po palcach. W niedzielę przychodził ojciec. Rozmawiał z dyrektorem. Potem kładł mi dłoń na głowie. Robił wymówki, dawał kilka monet, odchodził. Matka już nie żyła.

Dziś mam osiemdziesiąt pięć lat. Jestem badaczem ginących kultur indiańskich. Grzebię w archiwach, odczytuję zetłale rękopisy. Ale pamiętam jeszcze zapach lasu, świeżych skórek bobrowych, ujadanie psów i zgrzyt płóz na lodzie. Otwieram szafę i biorę do ręki mój dawny nóż traperski, poczerńiałe karple o naprężonych jak struny rzemieniach, fajkę wodza Tlingitów lepioną ze świętej gliny Ketch Moth Landu. Lecz nie te przedmioty leżą u początku opowieści. Zaczyna ją coś innego. Nie przedmiot i nie osoba. Żaden z moich czerwonych i białych przyjaciół na szlakach Alaski. Jest to coś ulotnego. Własność wszystkich mieszkańców Północy — pieśń puszczy polarnej, nagiego barren, czarnego nieba — indiańska legenda-poemat.

W szkolnej bibliotece w San Francisco odkryłem oprawioną safianem książeczkę: OPISANIE DOKŁADNE PODRÓŻY DO INDYÓW CZYLI TLINGITÓW W KRAYU KOYUKUK W ALASCE PRZEZ AUTORA RYCINAMI I DYKCYONARYUSZEM OPATRZONE. Pośród wędrowniczych opisów napotkałem legendę. Uczyłem się jej na pamięć.

Byłem uczniem jeszcze. Ale wyrośniętym i silnym nad swój wiek. Z przykrótkich rękawów kolegalnej bluzy sterczały czerwone przeguby. Palce puchły mi od bicia. Byłem zawsze głodny. Patrzałem spode łba. Żaden z czających się za naszymi plecami profesorów nie podejrzewał, co się kłuło w mojej czaszce, kiedy tkwiłem pod lampą biblioteczną pozornie odrabiając lektury. Oto legenda. Pamiętam ją zawsze.

*Pod ognistym blaskiem zorzy  
Która z dłoni Manitou  
Z jego boskich obu dłoni  
Splywa światłem niepokoju  
Stoi skała z świętej gliny  
Ulepiona na kształt głowy  
Palcami Wielkiego Ducha*

*Śnieg skrzypiący znaczy tropy  
Odcisnięte stopą wodza  
Nso Tsze Itsu — Blask Pioruna  
Wiatr pustkowi mgłę odwiewa  
Odsłaniając przed Tlingitem  
Oblicze Wielkiego Teutona  
Niechaj uszy świętej skały  
Wysłuchają próśb przybysza*

*Łaska boga Manitou  
Którą darzył swoje dzieci  
Napelniając nurt potoków  
Lśnieniem srebrnotuskich pstrągów  
I wydając zwierza z puszczy  
Na łup szybkołknącej strzały  
Łaska boga Manitou  
Nie splywa więcej na ziemię  
Wyschły rzeki płoną lasy  
Gwiazda dzienna żarem ognia  
Spopiela łowiska Indian*

*Wódz Tlingitów — Blask Pioruna*

*U twych stóp Wielki Tetonie  
Skladam prośbę mego ludu  
Abyś wstawił się za nami  
U gniewnego ojca świata  
Nim nas zgubi tchnieniem suszy*

*Łoskot burzy mknie nad ziemią  
Gdy na rozkaz Manitou  
Pęka skała na północy  
Wielki Teton rozwarł usta  
I pochłonął Nso Tsze Itsu  
Zamykając go w swym wnętrzu  
Liść żółty opada z klonu  
Tlingici czerwonoskórzy  
Niech zapomną Blask Pioruna*

*Gdy od strony Słonej Wody  
Która jest zwierciadłem nieba  
Białopióre skrzydła płócien  
Przyniosą na szybkich canoe  
Śmierć i zagładę Tlingitom  
Otworzy się święta skała  
I z ust Wielkiego Tetona  
Wódz Tlingitów Blask Pioruna  
Wyjdzie niosąc ocalenie  
Przez dobrego boga Indian  
Darowane jego dzieciom*

Jest w tym z pewnością jakieś ziarno prawdy — myślałem. — Jak w każdej legendzie. Wierzę w istnienie tej skały. Zapewne niewielu Indian i białych widziało Tetona. Ja zobaczę! — postanowiłem w myśli. — Legenda mówi prawdę. Może skała jest grobowcem wykutym ludzką ręką? Może jest tam ukryty skarb ginącego plemienia? Odnajdę Wielkiego Tetona, zbadam tajemnicę! Złoto będzie moje.

Na wiosnę 1895 roku umarł mój ojciec. Wypuszczono mnie ze szkoły na pogrzeb. Wracając samotnie z cmentarza, pod wpływem naglej myśli skręciłem w ulicę wiodącą do portu.

Od nabrzeża odpłynął stateczek z napisem na rufie SZCZUR MORSKI. Jako chłopiec okrętowy zmywałem naczynia w kambuzie. Poruszałem się jak we śnie. Zaledwie pamiętam dzisiaj pokład statku, opasłego kucharza, który bił mnie szmatą po plecach, kiedy oglądałem przez iluminator brzegi mijanych wysepek i cieśnin, długą falę pełnego morza, szkwały Pacyfiku spychające SZCZURA na bazaltowe rafy. W Anchorage uciekłem z pokładu. Dałem się namówić agentowi Kompanii do pracy w głębi Alaski. Będę bliżej Tetona — myślałem. Z gromadą mężczyzn przekroczyłem góry. Szli szukać złota nad Selkirk Pelly River. Ja zostałem w faktorii. Stałem do pracy w magazynie futer.

### III

Skóry leżały na rusztowaniu z belek. Nie dotykały ziemi. Te wielkie, szare, pokryte ostrą turzycą, to pewnie wilcze — myślałem. — Widziałem też cały zwal lisich ogonów.

Oddychałem zapachem futer. Blask słońca wpadał przez wrota. W smudze światła pływały chmury pyłu. Na ścianie wisiał plakat:

GDY MĘŻCZYŹNI MÓWIĄ O STRZELANIU  
PRYZNAJĄ, ŻE  
SŁYNNY  
WINCHESTER  
JEST NAJLEPSZY  
W ŚWIECIE  
Winchester Western Division

Do szopy wszedł faktor. Był to chudy mężczyzna. Nosił okulary ze stalowego drutu. Jego źrenice za szklami soczewek rozmazywały się w niekształtne plamy. Przydźwigał narzędzia rzemiennych postronków. Rzucił. Tuman kurzu owionął mi nogi.

— Poznasz skórki bobrowe? — zapytał.

— Tak, sir — odrzekłem — są zupełnie inne niż wilcze albo lisie.

— Wybieraj je ze stosu. Zwiążuj po dwadzieścia. — Pchnął palcem okulary. — Chłopcze? Chcesz zostać tu na dłużej?

Podniosłem oczy. Nie rozumiałem.

— Mógłbyś podpisać kontrakt. Na dwa albo trzy lata.

— Dziękuję, sir — odrzekłem — nie myślałem o tym.

— Nie ma nad czym myśleć. Chcę kogoś na stałe. A poza tym — przerwał, pajęcze ręce splótł na plecach, podniósł głowę i wzrok skierował pod dach szopy — nie pytam się, jakie jest twoje prawdziwe nazwisko ani...

— Podąłem prawdziwe, sir! — przerwałem.

— Być może — zgodził się — jesteś naprawdę George Waine, to bez znaczenia. Nie pytam też, co przeszkobałeś w San Francisco...

Poczułem ciepło krwi na policzkach. Zabiło mi serce. Wypuściłem z palców skórkę. Nie jestem przestępcą — myślałem. — Nic nie „przeszkobałem”. Nie jestem już uczniem. Nie zostanę tu długo. Ruszę dalej na północ. Milczałem.

— No więc? zapytał. — Widzę, że myślisz. Zamiast się włóczyć, będziesz miał mieszkanie. Zarobisz dwieście dolarów.

Potrząsnąłem głową.

— Nie, sir! — powiedziałem. — Dziękuję, że pan dał mi robotę, ale na trzy lata! Nie! Nie mogę.

— Uparty jak osioł! — wzruszył ramionami.

Przy pierwszej okazji — myślałem — opuszczę faktorię. Co mi dwieście dolarów! Wiem gdzie zdobyć złoto...

Pilnie pracowałem. Słońce obeszło niebo. Cienkimi smużkami wdarło się przez szpary z drugiej strony dachu. Brodziłem pośród soboli, grzęzłem w gronostajach. Deptałem szynszyle i skunksy. Gięły się pod stopami czarne, srebrne, białe, błękitne i rude lisiury. Były puszyste i miękkie. Łowiłem pod nimi futerka bobrowe. Ciemnobrązowym włosiem błyszcząły w półmroku. Na odwrocie były surowe, ledwo oskrobane, szorstkie, suche i twarde.

Słyszałem sójki goniące się po dachu. Skrzeczały donośnie. Gwizdałem:

*Jenny,  
Jenny,  
Yeah ha ho!  
Pocahuj!  
Yeah ha ho!*



Stawałem we wrotach. Ruch panował w faktorii. Przybywali traperzy. Wciągali na wysoki brzeg canoe. Naręcza skórek znosili do głównego budynku. To ich zdobycz zimowa — zgadywałem. Dolatywały mnie odgłosy targów. Brzęczały butelki, pieniądze, podniesione głosy, śpiewy.

Dobrałem się do kąta szopy. Odsuwałem skóry wilcze szukając bobrowych.

— George Waine! — usłyszałem.

We wrotach stał faktor. Zsunął na czoło okulary. Błyszczały mu oczy.

— Tak, sir! — odparłem.

— Słuchaj, George Waine! Idź do kuchni, dostaniesz tam obiad. Potem podpiszemy kontrakt.

Chwiał się na cienkich nogach.

— To niemożliwe — odparłem. — Nie mogę.

— Jesteś uparty, George Waine. I ja także.

\* \* \*

Odstawiłem miskę. Przejdę się nad rzeką — pomyślałem. Woda była wezbrana. Środkiem nurtu płynął pień drzewa. W górach topniały śniegi. Nad brzegiem rosły brzozy. Prąd wypłukiwał ziemię z plecionek korzeni. Łamałem patyki. Rzuciałem je do rzeki. Jest jak kawa z mlekiem — myślałem. Stopy zanurzałem w wilgotnych liściach. Kopnięciem strącałem ich naręcza. Osiadały na wodzie pośród rojów piany. Odpływały falującym warkoczem rwącym się na części.

Wspiałem się na pień schylony nad nurtem. Pękł z hukiem. Poleciałem ku płynącym bańkom. Rozprysnąłem wodę. Zanurzyłem się z głową. Ciało objęły lodowate kleszcze. Prąd zepchnął mnie na dno. Tłamsił i toczył po kamieniach. Biłem ramionami. Miałem wodę w ustach. Płuca pękały. Nogi trafiały na głębię. — Koniec! Poczulem szarpnięcie za bluzę. Trafiłem dłonią na rękę ludzką. Wczepiłem w nią palce. Znalazłem grunt, rzuciłem się do brzegu. Na kolanach i łokciach, obrywając ziemię, wpełzłem na skarpe. Pod gałęziami brzoź upadłem na liście. Kaszlałem i plułem.

Ktoś dotknął mojej szyi. Poderwałem głowę. Ujrzałem biało wyprawione spodnie z jeleniej skóry, ozdabiane na szwach czerwoną nicią. Nogawki ociekały potokami wody. Podniosłem oczy. Dziewczyna! Nie mogłem otworzyć szczęk. Zwarły się kurczowo. Było mi zimno. Drżała skóra na plecach. Trzęsły się ręce. Okład mokrych szmat oblepiał ciało. Spływały po skórze lodowate krople.

— Wytrę ci twarz — powiedziała. Uklękła na ziemi. Miała chustkę na szyi. Zaczęła rozplątywać węzeł. Patrzyłem na szczupłe palce. Giętkie i opalone — myślałem dygocąc. Rozwinęła chustkę, wycierała mnie mocno obu dłońmi. Czułem dotknięcia jej palców. Jest mi lepiej — myślałem. Jej bluzka była ochlapana wodą.

— Wskoczyłaś do rzeki... — wyszeptalem szczękając zębami. — Mogłaś sama utonąć.

Podniosła oczy. Widziałem blisko twarz dziewczyny. Zwinęła chustkę, wyżywała ją wyciągnawszy w bok ramiona. Wiem teraz co to znaczy — myślałem — „brzoskwiniowa cera”. Pod dotknięciem palców byłaby miękka jak aksamit. Jest usiana drobinami wody. Usiadłem. Nigdy jeszcze — myślałem — nie byłem tak blisko... Jej włosy są czarne. Mają kolor sadzy. Nie połyskują granatem jak hartowana blacha albo krucze skrzydła, jest w nich tylko czerń sadzy.

Poczulem się gorzej. Opadłem na ziemię. Ręce i nogi były miękkie jak z waty. Położyła mi dłoń na czole. Ujrzałem oczy, szare, usiane cętkami zieleni.

— Ojciec mówił, że przyjął kogoś do pracy — uśmiechnęła się.

— To ja — wyjąkałem — dziś rano...

A więc ona — myślałem — jest córką faktora! Łomotało mi serce. Chwiały się gałęzie brzozy. Rzeka wrzała wirami. Ogłuchłem i oślepiłem na wszystko.

— Jestem Chiquita — powiedziała. — Umrzesz z zimna. Zsiniałeś. Wstawaj!

Zgiąłem sztywne kości. Oparłem się na jej ramieniu. Z butów trysnęła woda. Powlekliśmy się do factorii. Ma na imię Chiquita — myślałem. — Obejmuję ją ręką. Ocaliła mi życie. Nikt nie jest taki jak ona. Wiem co teraz zrobić!

Staliśmy przed domem.

— Doskonale chodzisz — powiedziała. — Dasz już sobie radę...

Wbiegła po schodach. Czekałem aż umilkną jej kroki. Uciekłem z San Francisco — myślałem — Płynąłem na SZCZURZE MORSKIM, przeszedłem góry, byłbym wreszcie utonął i spotkałem Chiquitę... Przekroczyłem próg izby. Faktor wybuchnął śmiechem.

— Chciałem pomówić, sir.

— A może wysuszysz się przedtem?

— Wolałbym od razu...

— Oho — spojrzał nad szklami. — Widzę, że to nic miłego. Pewnie powiesz, że masz dość kąpieli w tej miejscowości...

— Przepraszam, sir, chciałem mówić poważnie.

— To znaczy, że nic cię nie obchodzi moje ludzkie obejście się z tobą... Rzucasz robotę?

— Przeciwnie, sir. Chcę zostać.

Pochylił głowę na bok, rozwarł oczy.

— Chciałbym tylko wiedzieć, czy po podpisaniu kontraktu pan nie będzie mógł mnie zwolnić?

— Zależy od ciebie...

— Będę się starał, sir. Jestem gotów. Podpiszę na ile lat pan zechce.

— Dwa wystarczy.

— O, ja mogę nawet na pięć.

Patrzył podejrzliwie.

— Zdołałem cię namówić? — spytał.

— Tak, sir — odrzekłem.

Kałuża wody rosła na podłodze. Cienkie strużki odpływały wzdłuż świerkowych desek. Faktor przyniósł pióro, atrament i papier. Podpisałem mokrą ręką. Poczęstował mnie rumem.

\* \* \*

Wybiegłem przed dom. Miałem wzrok zamglony. Słońce pomarańczową tarczą chowało się za świerki. Skrzeczały sójki. Bulgotała rzeka. Wiatr niósł zapach puszczy. Jestem pełen światła i lekkości — myślałem. Nie ma we mnie miejsca na cokolwiek innego.

— Halo, master! Cóż to macie taką wniebowziętą minę? — zadudnił gruby głos pod drzewami. Ujrzałem niskiego człowieczka. Grzmiące tony toczyły się z ogromnego brzucha, jakby z pustej beczki. Przypląnął rzeką — domyśliłem się. — Idzie ku domowi. Wygląda jak pękaty antałek obciążony skórą. Z łosiowego kubraka wypadły wszystkie włosy. Twarz jest równie okrągła. Skrył ją w gęstej brodzie. Głowę nakrył bobrową czapką z piórkiem. Niósł strzelbę. Rzemienne szwy kubraka były napięte do ostatnich granic. Szumiał mi rum w głowie. Język się plątał. Wybuchnąłem śmiechem.

— Wyglądacie jak beczułka z winem! — zawołałem.

Przystanął i przyjrzał mi się.

— A może jak z piwem? — podsunął. Rozchylił w uśmiechu grube wargi. Zabłysły zęby w gąszczach brody.

— Ha, ha! Właśnie! — krzyknąłem.

— Albo... z rumem? — zapytał.

Nie śmiałem się więcej. Zrobiłem krok do tyłu. Złapał mnie za przeguby dłoni. Próbowałem się wyrwać, szarpałem z całej siły. Na próżno. Trzymał pięcioma palcami dwie moje ręce i ścisnął tak mocno, że po chwili dałem spokój wysiłkom. Łzy zaświeciły mi w oczach. Przysunął twarz. Cedząc słowa powiedział:

— Jeśli nie umiesz się obronić przed moją lewą ręką ani powstrzymać łez bólu, jeżeli — tu puścił mnie, wyszarpnął nóż zza pasa i błysnął mi przed nosem tak nagle, że wydałem okrzyk — jeżeli głośno krzyczysz ze strachu na widok noża, jeżeli — znów przerwał, wetknął nóż do pochwy i zanim się zorientowałem uniósł strzelbę i wypalił mi tuż koło ucha, na co wzdrygnąłem się cały — jeżeli jesteś taki nerwowy, że huk strzału przyprawia cię o drgawki, jeżeli na koniec jesteś tak nierozważny, że obrażasz Thick Bunny'ego, to znaczy tylko jedno...

Puścił mnie i mogłem uciekać, ale stałem jak wryty przeczuwając najgorsze. Chyba ujdę z życiem? — pytałem się w duchu.

— To znaczy — ciągnął przybysz — że jesteś największym greenhornem pod słońcem i to cię ratuje. Od Yukonu do Mackenzie wszyscy znają imię Thick Bunny. Nikt nie odważy się z niego żartować — potrząsnął strzelbą w powietrzu. — Jesteś najostatniejszym z greenhornów i obejdę się z tobą jak ze szczeniakiem, który ledwo otwarł oczy już próbuje warczeć. Dostałeś klapsa i zmykaj. Pshaw.

Zamilkł. Strzelbę zarzucił na ramię. Poprawił czapkę i ruszył do faktorii.

Co mi do głowy strzeliło, żeby z niego żartować? Po co piłem tyle rumu? Już dawno nie czułem się tak paskudnie...

— Halo! Zaczekajcie! — krzyknąłem. Puściłem się biegiem.

Traper obejrzał się ku mnie. Dogoniłem go i stanąłem zadyszany.

— Chciałem was przeprosić — powiedziałem.

— Well — odrzekł powoli. — Gruby Bunny nie potrzebuje przeprosin. Sam potrafię wydusić z każdego to, co mi potrzeba, ale umiem też dostrzec dobre chęci. Jak się nazywasz, chłopcze?

— George Waine.

— Więc słuchaj, George Waine, co ci powiem, nie przejmuj się bardzo, a skoro już się znamy, to ci zdradzę, że — zbliżył brodę do mego ucha — ja też bardzo nie lubię jak mi ktoś strzela nad głową... Trzepnął mnie po ramieniu. Potoczył się dalej. Krótkie nogi niosły okrągłe ciało lekko i sprężyste w indiańskich mokasynach. Podskakiwały frędzle na szwach spodni.

\* \* \*

Pracowałem do zmroku wiążąc w pęczki skóry. Widziałem przez wrota jak Thick Bunny znosi do faktorii naręcza futer. Potem wracał na przystań taszcząc worki i skrzynki z zakupionym prowiantem. Pewnie wyrusza nocą — domyślałem się. Było już ciemno. Przyszedł faktor. Zamknął szopę. Wręczył mi klucz.

— Oddaj mojej córce — powiedział.

— Tak, sir — odrzekłem cicho. Zaśpiewałem w myślach. Biegłem pod drzwiami. Chciałem rozpędem wbiec na schody. Zagroził je Thick Bunny. Wyrósł z mroku.

— Bardzo dobrze — zadudnił. — Teraz pogadamy.

— Nie mogę — odrzekłem — muszę...

— Głupstwo! — przerwał. — Greenhornom wciąż się zdaje, że muszą. Siadaj!

— Ależ ja naprawdę... — chciałem przemknąć obok, ale zajmował sobą całą szerokość schodów.

— Nie zmuszajcie mnie, żebym... — zacząłem podniesionym głosem, ale znów mi przerwał.

— Siadaj, ty ośle! — złapał moją rękę i z siłą, której nie zdołałbym się oprzeć, posadził mnie na stopniu. Sam usiadł obok. Byłem wciśnięty między drewnianą ścianę a jego cielsko. Obracałem klucz w palcach. Diabli nadali — gorączkowałem się w duchu. — Już bym był u niej...

— Jesteś duży chłop — mówił Thick Bunny — wyglądasz na silnego. Faktor twierdził, że jesteś pojętny. Zamiast trzepać kurze z wyliniałych skórek, chodź lepiej ze mną. Potrzebny mi pomocnik. Nie wydaje się, abyś był zdolny do traperskiego życia, ale cierpliwością...

Niby płomień przeszył mi piersi — życie trapera! Miałem dość wyobraźni, aby w mgnieniu oka ujrzeć blask obozowego ogniska, poczuć smak jeleniej pieczeni, zwęszyć piżmo błękitnego lisa. Płomień przeleciał i — zgasł. Zduśłem go w sercu. Albo — albo — pomyślałem. Ujrzałem oczy Chiquity.

Nigdy cię nie porzucę! — przysiągłem w duchu. Byłem już spokojny. Dłubałem kluczem w szparze między belkami.

— Zbieraj rzeczy — mówił Thick Bunny — wyruszamy przed świtem. Założę się, że nie wiesz nawet, z którego końca nabija się strzelbę.

Słuchałem z kamiennym spokojem. Niczym mnie nie skusi — myślałem. — Wiem dobrze, czego się trzymać. Usłyszałem kroki. Nadszedł faktor z latarnią.

— Oddałeś klucz, Waine? — spytał.

— Nie, sir, nie zdążyłem. — Miałem jeszcze nadzieję. Rozwiął ją natychmiast.

— Daj klucz — powiedział — sam zaniosę.

Poszedłem spać nie ujrawszy Chiquity. Gruba beczka kwaśnego wina! — wymyślałem w duchu. Nie mogłem zasnąć. Przewracałem się na posłaniu. Wszedł księżyc. Zajrzał przez okno. Było otwarte. Słyszałem krzyk whipporwillów. Psy biegały wokół domu. Z ujadaniem rzucały się do lasu. Gonią coś — myślałem. Poruszałem bezgłośnie wargami, przemawiałem do Chiquity. Rękę opuszczałem z posłania i końcami palców wodziłem po belkach podłogi. Wyczuwałem dotykiem ziarna piasku. Paznokciem odłupałem drzazgę. Wsunąłem ją do szpary. Próbowałem zasnąć wciągając okrycie na głowę. Wówczas słyszałem bicie serca urywane i głośnie.

— Halo, Waine! — ktoś szepnął. Przywidzenie? Jąłem nadśluchiwać. — Waine! — rozległo się znowu. Wysunąłem głowę. Szarpnąłem się do tyłu. Ktoś stał przy posłaniu. Nachylał się ku mnie.

— To ja — szeptał — Thick Bunny!

Usiadłem przywierając plecami do ściany. Odcinał się wyraźnie na tle smug księżyca.

— Czego chcecie? — spytałem. — Co się stało?

— Pójdiesz ze mną, Waine...

— Nigdzie nie pójde! — krzyknąłem — już wam to po...

Zatkał mi usta dłonią! Tyłem głowy stuknąłem o ścianę. Przewrócił mnie i głowę owinął kocem. Wierzgałem nogami. Biłem piętą w deski. Zwalił się na mnie. Straciłem oddech. Wydało mi się, że leżę pod walcem drogowym. Opadłem bezwładnie. Poczulem rzemienie opasujące ręce i nogi. Łapałem hausty powietrza pod kocem. Szorstka wełna leżała mi na wargach. Twarz oblewało ciepło wydechu. Zarzucił mnie na ramię. Głowę zwisałem na dół. Nie potrafię się bronić — myślałem. Osłabłem jak dziecko. Odpowie mi za to...

Słyszałem plusk wody. Pieniła się za cienką burtą z płatów kory brzoźowej. Pachniał las świerkowy i woda rzeczna. Nade mną było niebo, ciemno jeszcze. Pobladło na wschodzie. Z drugiej strony księżyc wtaczał się za drzewa. Leżałem między burtami canoe. Czulem na plecach ucisk drewnianego żebra. Patrzyłem na wierzchołki świerków. Dwoma szeregi mrocznych kolumn odpływały do tyłu. Dziób łodzi podrywał się na falach. Miękkie kołysanie kładło kadłub na boki. Spróbowałem unieść dłonie do czoła i wróciła mi pełna świadomość. Ręce mam związane. Od kostek nóg, ciasno skrępowanych, mrowie drobnych ukłuc biegło mi

po łydkach. Stopy opierałem o spiętrzoną górę bagaży. Za nimi, na rufie, był człowiek. Klęczał na jednym kolanie. Trzymał krótkie wiosło. Zagarniał nim wodę. Czego on chce ode mnie — pytałem się w duchu. Przed oczy wróciła mi twarz dziewczyny. Napiąłem rzemienie. Przetnę skórę do kości — pomyślałem. Zwarłem szczęki. Nie pozwolę się porwać. Będę walczył i wrócę do niej.

— Rozwiąż mnie! — krzyknąłem. — Uwolnij mnie zaraz! Nie masz prawa!

Głos pobiegł nad wodą. Thick Bunny znieruchomiał. Wyjął wiosło z wody. Oparł je w poprzek łodzi. Bielejące pióro sterczało za burtą. Deszcze kropel sypał się z niego do rzeki.

— Jesteś bardzo dziki — powiedział. — Nie krzycz.

Tkwiał bez ruchu w drugim końcu łodzi. Szara poświata uniosła się nad wodą. Ujrzałem jego twarz i oczy utkwione we mnie. Jest jak duch tej rzeki — myślałem. Pasma mgły skrywają go przed moim wzrokiem. Wynurza się z nich i znów zagłębia w białawym oparze. Łódź płynie nieustannie. Niesie ją stalowa fala. Czuję kołysanie. Od wysokich brzegów nadbiega plusk nurtu podmywającego korzenie. Mrok czai się jeszcze pod skarpami brzegów.

Zdołałem unieść nogi. Zgiąłem je w kolanach i nagle uderzyłem stopami w bagażę. Dziób canoe wspiął się gwałtownie.

— Daj spokój — powiedział Bunny. — Nic ci nie pomoże. Chcesz utonąć z łodzią?

— Zginiesz ze mną! — krzyknąłem.

— Cicho! — odparł — teraz ja będę mówił. — Głos Thick Bunny'ego potoczył się nad wodą niby łoskot dalekich grzmotów.

— Lasem idzie człowiek. Dostrzega go sójka, lis i sęp. Sójka odlatuje w popłochu między świerki, lis odwraca się i sznurkuje pod gałęziami tak długo, póki nie przepadnie ostatni ślad zapachu, tylko siwy sęp wstrzymuje lot, zawisa na rozpiętych skrzydłach. Opuszcza szyję i rozchyła dziób. Przez długie godziny będzie płynął w nurtach wiatru nad tamtym w dole. Nie jest lisem ani tchórzliwym leśnym ptakiem. Choć widzi to samo co one, przenika myślą dalej i głębiej. Nie może nic wiedzieć o trawiącej człowieka gorączce, a jednak poznaje skądś jego słabość. Nie wie, że lufa strzelby jest pusta, a jednak nie boi się strzału. Nie ma pojęcia, że ów zbłąkany człowiek wlecze się resztką siły, a jednak w sercu sępa umacnia się pewność rychłego żeru. Thick Bunny jest jak siwy sęp. Patrzy na to co inni. Widzi więcej.

Zamilkł. Patrzył ponad moją głowę i dziobem łodzi na szlak wodny. Co chce zrobić ze mną? — pytałem się w duchu. — W taki sposób zwykli przemawiać Indianie zanim wydadzą wyrok śmierci...

— Co widzi Thick Bunny? — ciągnął dalej swym głosem pustej beczki. — Wyciąga canoe na przystań, zanosi skóry do faktorii. Spotyka bladego greenhorna, który dopiero co przybył z miasta i białymi palcami próbuje przebierać bobrowe futerka. Thick Bunny jest dla niego łagodny jak wiatr z południa niosący deszcz suchej prerii. Chce go zabrać ze sobą i uczynić z niego mężczyznę. Widzi błysk w jego oku na dźwięk słowa „traper” i czyta jego pragnienia jak z otwartej księgi. Ale coś zatrzymuje George Waine'a w szopie pełnej kurzu. Thick Bunny patrzy i słucha. I oto dowiaduje się, że George Waine przewraca oczami na dźwięk imienia pewnej, młodej...

— Jak śmiesz! — krzyknąłem. Szarpnąłem rzemienie.

— Uspokój się, Waine! — zagrzmiał basem. — Jesteś ślepy jak opos. Jedyne córka faktora, człowieka, który mógłby kupić mnie i ciebie, i wszystkich traperów Jukonu wylawia z rzeki obdartego włóczęgę i odtąd marzy tylko, aby z nim...

— Przestań! — zawołałem. — Jak śmiesz mówić o niej!

— Mówię tylko o tobie, George Waine! Wylecz się z urojeń! Za dzień, dwa faktor by spostrzegł, co się święci i w tej samej minucie znikalbyś z faktorii szczuty psami. W pobliżu nie zawsze trafia się Thick Bunny. Nie mam prawa zmuszać cię do życia w lesie, ale chcę spróbować zrobić człowieka z greenhorna. Jeśli za trzy dni powiesz mi jeszcze, że chcesz wracać — odstawię cię na miejsce. Daj słowo, że nie będziesz uciekał przed tym terminem, a

zdejmę ci natychmiast więzy.

— Nigdy! — krzyknąłem. — Nigdy nie dam słowa! Zawracaj!

Nic nie odpowiedział. Pokazał zęby w uśmiechu. Obrócił wiosło i zanurzył je w rzece. Łódź skoczyła naprzód.

\* \* \*

Wyniósł mnie na piasek Ułożył na plecach. Canoe wciągnął dziobem na mieliznę. Próbowałem patrzeć prosto w niebo. Raziło mnie słońce. Wciskało się do oczu. Czerwonym blaskiem prześwietlało powieki. Czułem ciepło promieni biegnących z wysoka. Plecy grała mi piasek. Przewróciłem się na bok. Widziałem nurt rzeki, po którym zdawały się spływać płatki blasku. Za wodą stał mur lasu. Drobne ptaki wypryskiwały z gęstwiny, zawisały trzepocząc skrzydełkami i spadały kamieniem w igliwie. Słyszałem za sobą Thick Bunny'ego. Człapał w płytkiej wodzie. Wynosił coś z łodzi. Szczekał nożem o blachę. Zwęszyłem zapach mięsa.

— Zjedz to! — powiedział.

Cień padł mi na głowę. Zacisnąłem oczy. Leżałem bez ruchu.

— Nie bądź uparty, Waine — mówił, miał teraz coś w ustach, gryzł i mówił dalej rzucając pojedyncze słowa. Głośno przełykał.

— Za dwa lata wrócisz odmieniony, nikogo nie będziesz prosił o pracę, sam zarobisz strzelbą. Teraz jesteś greenhornem, ale — zamilkł usiłując odgryźć coś twardego — kiedy już będziesz mężczyzną, wrócisz i powiesz faktorowi: daj mi swoją córkę, bo — przełknął donośnie — i tak ją wezmę. A dla niej nie będziesz już przybłądą złowionym w mętnej wodzie.

O zachodzie słońca byliśmy na jeziorze. Krwawy blask leżał na czole trapersa. Zdawało mi się, że całe ciało jest martwym kłosem. Ręce i nogi były sztywne. Nie czułem już bólu. Wkrótce umrę — myślałem. — Nie wiem nawet czy serce jeszcze bije we mnie. Wszystko jest zdrewniałe. Mąci mi się w głowie. Może mógłbym jeszcze mówić? Nie poproszę go o nic. Niech raczej zginę z głodu i pragnienia. Więzy sprowadzą gangrenę...

Na martwej tafli jeziora znać było każdą utopioną muchę. Ciemna ryba rozbiła powierzchnię i siejąc ulewę kropel powróciła łukiem w stalowe lśnienie wody.

Thick Bunny wyniósł mnie na rękach. Posadził w trawie i oparł o pień drzewa. Patrzałem jak patyki zajmują się ogniem. Kora dotknięta płomieniem czerniała, dzieliła się na płatki o podwiniętych brzegach. Kurczyły się zwęglone. Smuzka dymu pchana powiewem przesuwała mi się po twarzy. Zaciskałem zęby, żeby nie kaszłać. Z patelni płaty boczku strzelały drobinami tłuszczu. Pochylałem głowę na piersi. W ten sposób — myślałem — ukryję ruch krtani kiedy przełykam ślinę. Nie mogę jej powstrzymać. Jest mi słabo z głodu. Nic od niego nie wezmę! Słyszałem mlaskanie. Jadł bardzo powoli. Robi to umyślnie — podejrzewałem — nim się naje, umrę z głodu. Nie próbował mnie karmić. Poskładał naczynia.

Wyjął coś z bagaży. Rozwijał w świetle ognia.

— Patrz! — powiedział. — To dla ciebie! Wszystko to możesz dostać. Powiedz tylko słowo.

Ujrzałem spodnie, nowe, traperskie, ze skóry jeleniej i bluzę z kieszeniami, z podwójną skórą na ramionach. Ujrzałem granatowe lśnienie podwójnej lufy Winchestera. Thick Bunny wy dobył z za siebie nóż w pochwie. Wysunął szeroką klingę. Odbity od niej promień przebiegł mi po twarzy. Podrzucił nóż na dłoń.

— Mam dla ciebie wszystko. Przestań się upierać i choć ze mną.

— Nigdy! — powtarzałem zaciskając zęby. Nic mu nie odpowiem. I tak musi mnie puścić. Wtedy wrócę do niej.

\* \* \*

Gęsty mrok zaległ ziemię. Whipporwille nawoływały z gąszczu. Na jeziorze rzucały się ryby. Czarne niebo wysrebrzył księżyc. Słyszałem szelest liści, po których wspinały się owady. Łowiłem uchem szmer igliwia. Gdzieś obok przebiegały myszy. Drobnymi pazurkami skrobały o blachę patelni. Ciągnęły coś i gryzły. Otwierałem szeroko oczy. Na tle nieba czerniały kępy świerków. Sączyły w noc swój mocny zapach puszczy iglastej.

— Thick Bunny! — zawołałem. - Słyszysz mnie? Thick Bunny!

Poruszył się w mroku.

— Co jest? — spytał szeptem. — Co się stało?

Prostowałem swobodne ręce. Wstałem oparty o drzewo.

Uczyniłem kilka chwiejnych kroków. Krew poczyniała swobodnie krążyć. Mrowie tysięcy szpilek przeszływało mi mięśnie. Chiquito — szeptałem — nie jestem zdrajcą. Nigdy nim nie byłem. Czekał na mnie...

## IV

Przebiegaliśmy puszcę od Snake River do Pelton Hills. W jasne noce skradaliśmy się do żeremi bobrowych zakładając linie sideł. Spływaliliśmy strumieniami. Przenosiliśmy canoe na plecach przez spienione bystrza. Popiół ognisk znaczył zwęglonymi plamami nasze szlaki. Biegły kołami i ósemkami po terytorium myśliwskim Thick Bunny'ego. Widziałem księżycy kryjące się czerwonymi tarczami za wzgórze Starego Węża i długi łańcuch nocy na nowiu, kiedy puszcza tonęła w smolistej czerni. Uczyłem się poznawać kwilenie jastrzębia i kani, poszczekiwanie lisie, klaśnięcie ogona bobrowego.

Po każdym obchodzie linii sideł wracaliśmy do chaty Thick Bunny'ego na brzegu strumienia. Wówczas dniami i nocami okolica brzmiała hukiem wystrzałów. Ramię miałem odbite od uderzeń kolby, policzek spuchnięty. W prawym uchu słyszałem nieustanne dzwonięcie. Nawet huk wystrzałów nie był go w stanie zagłuszyć. Woń prochu wypełniała powietrze. Czerniała mi twarz i dłonie. A Thick Bunny szedł za mną krok w krok i wskazywał tysiące pni, gałęzi, kamieni, które należało przestrzelić jednym błyskawicznym podrzutem strzelby do ramienia. Był to już drugi stopień. Przedtem całe tygodnie trwała nauka samego składania się do strzału. Wieczorami po całodziennym pochodzie, kiedy u ogniska opadały mi powieki i myślałem, że nie jestem zdolny do zrobienia kroku, do zdjęcia nawet butów, Thick Bunny wyzwał we mnie grzmiącym basem jakieś nieznanne zasoby energii, zmuszał do ujęcia strzelby i spełniania rozkazów dudniących pod drzewami: Up! Down! Up! Down! Do góry! Na dół! I długa lufa dziesiątki i setki razy podrywana mdlejącą ręką wyciągała się wzdłuż linii oko — cel. Robiłem to wyrwany ze snu i przed zaśnięciem. W drgającej czerwieni ognia i poświacie księżycy. W białym żarze słońca, we mgle i o zmroku. Klęcząc, leżąc, siedząc na ziemi, na drzewie, z ukrycia i w biegu i zawsze kiedy zabrzmiał okrzyk: Cel! — chciałem czy nie, przed oko wsuwała się szczerbina i muszka a otwór oksydowanej lufy niezawodnie kierował się ku celowi.

Wodospady Snake River okrążyliśmy łodem. Thick Bunny pomagał mi ładować na plecy odwrócone canoe. Na drżących pod stufuntowym ciężarem nogach wspinałem się piarzystą ścieżką. Okrążałem bystrza jelenimi przesmykami, zmagając się z gałęziami zatrzymującymi kadłub łodzi. Oczy zapływały potem. Serce biło ciężko i twardo. Jedna myśl tłukła się pod czaszką: odpoczne! Rzucę to! Lecz za moimi plecami rozlegało się basowe: Naprzód! Prędeż!

Wieczorami gromadziłem drzewo. W gąszczach suchych chojarów wyrąbywałem całe polany. Trzonek siekiery czerniał od potu. Włosy miałem pełne drzazg i wiórów. Stuk żelaza

biegł daleko po lesie. Wyrastał stos bierwion. Palce na drzewcu zaciskały się skurczem. Sztywniały i wrastały w dębowy trzonek. Ramię zmienione w nieczuły dźwign wznosiło się i opadało.

— Mało drzewa! Mocniej uderzaj! Większy zamach! — grzmiał od ogniska Thick Bunny. Kazał mi spać na ziemi, na pokładzie kamieni, które sam musiałem zbierać i znosić, na gałęziach, których odrośla wbijały mi się pod łopatki, to znów w pozycji siedzącej ze strzelbą na kolanie.

Rankami, nim się zbudziłem, znikał z obozu, a ja oprzytomniawszy ruszałem jego tropem. Zrazu bywały to ślady wyraźne. Odciski stóp w przybrzeżnym błocie, wiórki struganego patyka, złamane gałązki. Z biegiem tygodni zadania stawały się trudniejsze. Musiałem poznawać, czy kamień został trącony przez człowieka czy zwierzę, czy grudkę błota na kłodzie zostawiła stopa ludzka, czy czochrający się po łowach na bagnisku basior. Poznawałem tropy szynszyli i sznureczki śladów gronostaja. Draśnięcia pazurów brunatnego niedźwiedzia i kępki jedwabistej turzycy rysia, zaczepione o nierówności świerkowej kory. Wystarczał mi błysk łuski w przejrzystej wodzie, aby wiedzieć, że strumień pełen jest łososi lub pstrągów.

Podczas długich marszów, zgięty pod stosem zdartych skórek, słuchałem Thick Bunny'ego, który mówił mi o ludziach i zwierzętach puszczy. Tuż za Snake River zaczynały się łowiska Tlingitów, Indian. Ruszymy tam zimą — obiecywał Thick Bunny. — Jestem z nimi w przyjaźni. Chcę, abyś ich poznał. W zimie poluję na wilki na ich terytorium. Chcę, abyś znał ich mowę. Zdarzały się całe dni, kiedy z ust Thick Bunny'ego nie słyszałem jednego angielskiego słowa. Z wolna pojmowałem mowę Tlingitów. Łowiłem wyrazy. Składałem zdania. W końcu lata umiałem tyle co Bunny. W naszych rozmowach przechodziliśmy na ten język o tyle właściwszy w puszczy, górach i na jeziorze — wywodzący się swymi brzmieniami od szmerów, syków i dźwięków przyrody.

— Nic nie wiesz i nic nie poznałeś! — mówił jeszcze Thick Bunny. — Żyjesz na Północy dopiero jedno lato. A lato jest tu krótkie i omal się nie liczy. Ważna jest zima. Nie znasz jeszcze tej zimy trwającej pół roku, trzymającej kraj i rzeki, lasy i góry pod białym płaszczem i w lodowej martwocie.

Ujrzałem czerwieniejące klony i żółknące brzozy. O świcie spotykałem błonki lodu na kałużach. Patrzałem na wyblakłe, toczące się coraz niżej słońce, na dębowy liść trzymany na dłoni. Rubinowa posoka rozlewała się żyłkami wypierając zieleń. Nie liczyłem mijającego czasu. Wszystkie dawniejsze dni — ucieczka z kolegium, żegluga, dzień pracy w faktorii, oddalały się w niepamięć. Jakby kto inny je przeżył, jakby w innym wcieleniu — mówiłem sobie. Ale jest coś co przetrwało, czego nie zapominam, co jest ze mną w dzień i w nocy, cokolwiek robię, myślę czy mówię...

Deszcz bił o podszycie leśne. Drgały i wstrząsały się liście. Przejrzyste pociski spływały z wysokich gałęzi. Siedziałem na suchym igliwiu w gąszczu omszałego świerka. Odgarniałem szpilki. Na czarnej ziemi wymieszanej z kryształkami piasku, pełnej zbutwiałych, szyszkowych łusek, nasion i szczątków owadziach pisałem palcem: CHIQUITA...

Tropiłem Thick Bunny'ego. Ślad przecinał bagnisko. Wchodził na stok góry. Pod sosną płożył się kolczasty krzew. Klęcząc przy nim podniosłem z ziemi granatowe jagody. Tocząc się po dłoni utkwily w zagłębieniach palców. Świeży sok poplamiał skórę. Są niedawno zerwane — poznałem. Odpadły z łądyżek. Bunny stracił je przechodząc. Pójdę za tym tropem. O sto kroków dalej zerwana pajęczyna czepiała się płaskiego liścia paproci. Pospiesznie biegał pająk leśny. Tędy też przeszedł — nabrałem pewności. Wkroczyłem do łożyska potoku. Woda pośród kamieni zbierała się w kałuże. Dostrzegłem pływającą grudkę. Były w niej szczątki igliwia, czarnej leśnej ziemi, nasiona paproci. Opadła z butów Bunny'ego. Szedłem wciąż ku górze. Koryto potoku zmieniło się w wąwóz. Zaszumiała woda. Po lewej i prawej wyrosły skalne ściany. Przekraczałem progi. Spływająca woda popychała kamyki. Cienkimi warkoczami lała się z występów. Czulem bryzgi na twarzy. Trop był wciąż wyraźny. Pluski i



ciurkoty wypełniały wąwóz. Szum niewielkich siklaw głużył wrzaski ptaków. Pnie zwalone wiatrem zagroziły mi drogę. Były całkiem zgniłe. Może siedzi pod nimi? — zapytałem się w duchu. Znam jego zasadzki.

Usłyszałem pomruk. Przebił hałas wody. Podniosłem oczy ku niebu. Skrawek nad wąwozem nie był zachmurzony. Dostrzegłem ruch kątem oka. Zawróciłem na pięcie. Staliśmy oko w oko. Ja zamarły w obrocie, czując falę krwi gęstej jak ołów opuszczającej serce i... szary grizzly — niedźwiedź olbrzym. Podszedł mnie z tyłu. Stał na tylnych łapach. Wyniosły jak skała utkwili we mnie oczy. Świeciły czarnym blaskiem spod skudłonej grzywy. Wyciągnął pysk naprzód. Głowę miał wielkości łba bawołu. Poruszał nozdrzami chcąc złowić mój zapach. Z piersi szerokich jak tarcza i brzucha spływały długie włosy. Popielate pasma, wystrzępione i zbite, oblepiało błoto. Suche grudki chwiały się na pojedynczych włosach. Schylił niżej głowę, rozpostarł łapy. Z łokci zwisały frędzle sierści. Kołysał się na boki. Nie mam strzelby — myślałem — nóż nic tu nie znaczy.

— Bunny! - krzyknąłem — Bunny!

Grizzly machnął łapą. Skoczyłem do tyłu. W obrocie poczułem na ramieniu jakby smagnięcie harapem. Pazurem rozdarł mi skórę. Przeskoczyłem kłęb chrustu i korzeni. Za mną rozległ się ryk. Wstrząsnął ścianami wąwozu. Biegłem, padałem na kamienie i zrywałem się znowu. Ściany są niedostępne! — błyskały mi strzępy myśli. — Tylko naprzód! Grizzly dogania mustangi preriowe. Dopadnie mnie w mgnieniu oka. Wykręcałem kostki. Twarz płonęła mi żarem. Pot spływał po oczach. Ujrzałem wodospad. Zamykał drogę. Warkocz piany spadał z wysokości piętra. Nie zdołałem się tam wdrzeć! U stóp wodospadu była misa wypłukana w skale. Rzuciłem się do wody. Zanurzyłem się z głową, wychynałem pod progiem. Jąłem się wspinać na oślizłe płyty wodospadu. Strugi biły mnie po głowie.

Zaledwie wzniosłem się nad lustro wody, kiedy dopadł mnie grizzly. Pomruk bulgotał mu w gardle. Futro falowało na barkach. Niby ruchomy złom szarej skały zatkał sobą wąwóz. Uniósł się na tylne łapy, rozwarł pysk, skurczył czarne wargi ukazując spiczaste kły, położył płasko uszy. Wpijałem palce w ścianę. Przywarłem do niej. Przeszywał mnie ból odrywanych paznokci. Kurcz uchwycił mięśnie szyi wykręcanej do tyłu. Widzę już koniec — myślałem — teraz uderzy. Patrzałem na olbrzymią łapę grubą jak pień obwieszony brodami porostów, na nagą stopę wypukłą jak poduszka skórzana, otoczoną wieńcem czarnej szczeci, z której wychylały się szablaste szpony. Oddzielał nas zbiornik wodny o średnicy dwóch jardów. Grizzly postąpił naprzód. Noga wpadła mu w skalną misę. Padł na brzuch do wody. Nosem trącił mnie w plecy. Ryknął. Zanurzył się cały. Trysnęły bryzgi. Spieniona woda wyrwała się z kotła. Runęła falą w dół wąwozu. Ujrzałem grzbiet w kipieli piany. Falujące futro rozmywane wirami. W mgnieniu oka, nim zdołał się wynurzyć, stanąłem mu na grzbiecie i jednym skokiem przesadziłem jeziorko. Teraz biegiem! A może...? Nóż wyrwałem zza pasa. Grizzly wychynął z nurtów. Siedział ociekając strugami. Szukał mnie na skale. Byłem za nim. Chwycałem mokre kudły i drugą ręką wbiłem klingę noża pod łopatkę. Zadałem trzy pchnięcia wbijając nóż całym zamachem ramienia. Znieruchomiał na chwilę. Łapa mu opadła. Siedział wciąż tyłem do mnie, do pasa w wodzie. Obrócił głowę przez ramię. Patrzył ponad włochatym barkiem. Ujrzałem przekrwione białko. Żrenicę czarną jak węgiel. Milczał. Oddychał głośno. Struga wodospadu grzmiała padając w jeziorko. Opuścił powiekę. Poruszył językiem, spłynęło pasmo śluzu. Przewrócił się na bok. Zanurzył do barków. Nie drgnął więcej. Woda uspokoiła się, tylko od miejsca, gdzie uderzał wodospad, biegły fale kolistym pierścieniem.

Nie zdołałem już zasnąć — myślałem — minęła dawno północ. Wkrótce zacznie świtać. Księżyc wsunął się ponad krawędź wąwozu. Oblał zielonym blaskiem białe jak szkielety kamienie i gnijące trawy. Leżałem pod ścianą, pod okapem skalnym. Głowę opierałem na zgiętym ramieniu. Widziałem pas nocnego nieba... Księżyc nasycił je bladą zielenią. Wyżej, za skalnym progiem leżał grizzly. Promień księżycy lśnił matowo w żrenicy.

W chwilę potem, jak padł z mojej ręki — przypominałem sobie — kiedy stałem jeszcze

z nożem w garści, czując jak drzenie ogarnia mi łydki i kolana, pojawił się Thick Bunny. Zsunął się ze skały. Pochylił się nad olbrzymem, rozgarnął kudły. Palcami wyszukał rany. Uniósł brwi.

— Strzelałeś? — spytał.

Poniżej miejsca, w które wbilem po trzykroć nóż. była świeża rana. Kula przeszła wzdłuż boku niedźwiedzia ryjąc krwawą bruzdę.

Nie usnę tej nocy — myślałem. Szum wodospadu głośzył hukania sów i ujadania lisów. Na belkach wspartych o ścianę wąwozu, wysoko w górze coś się poruszyło. Po obłamanych konarach, z jednego na drugi, czepiając się pazurkami kory, głową na dół schodził gronostaj. Rozejrzał się, węszył. Zalśniły czerwono tarczki oczu. Złożyłem wargi, gwizdnąłem. Nagłym zwrotem, ruchami łasicy pomknął ku górze. Zamknąłem powieki.

— Grizzly zginął od ciosu noża — powiedział Thick Bunny. — Ale jest ktoś jeszcze, kto bez mojej wiedzy, na moim terenie łowieckim strzelił do szarego niedźwiedzia i zadał mu ranę.

Nadchodził wieczór. Poszliśmy do chaty, aby nazajutrz wrócić ze sznurami, wydobyć zwierzę z wody i zdjąć skórę. Zabiłem szarego niedźwiedzia — myślałem całą drogę. Nie jestem już greenhornem. Bunny nie przyzna mi tego. Czuję, że jest dumny. Kręcił się po chacie. Noc zapadła. Rozpalił ogień. Na ściany padły ruchome blaski. Teraz — pomyślałem — mógłbym go zapytać. Zrobię to od razu.

— Bunny — spytałem — powiedz, słyszałeś o Wielkim Tetonie?

Uśmiechnął się na to. Wsypał kawę do garnka na ogniu.

— Czy słyszałem? Widziałem go tak jak ciebie teraz... Jest w łańcuchu Crooksa, ale sterczy osobno niby głowa cukru. Tkwiałem o pięć mil od niego, czerniał tam z tym występem skalnym niby garbaty nos Indianina i obłym jajowatym wierzchołkiem na kształt wygolonej głowy. Nie mogłem uczynić ani kroku naprzód. Z wiosną barren zmienia się w grzaskie bajoro. Jest to już za kołem polarnym. Topnieją śniegi w górach i spływają na równinę zmieniając ją w bagno. Mówiono, że w górach Crooksa są pokłady złota, ale nikt tam nie zdoła dotrzeć przez błota i topiele.

Dobrze — pomyślałem. — Podczas nocy polarnej ziemia zamarza na pół roku. Zapadają ciemności, ale nie ma błota.

— Czemu — spytał Bunny — chcesz to wszystko wiedzieć?

Mieszał kawę w żelaznym saganie. Kipiała na blachę. Rozchodził się jej zapach. Opowiedziałem co wiem o legendzie. Bunny znał ją od Indian. Zdradziłem wszystkie swoje przypuszczenia.

— Nie wiem — powiedział Bunny. — Nie wiem, czy masz rację. Nie znam nikogo, kto by widział Tetona całkiem z bliska. Być może jest tam jakiś grób Indianina. Usta Tetona są szczeliną skalną. Z daleka widać ją wyraźnie. Ale legendy nie można brać dosłownie. Znam poetów wśród Indian. Myślę, że to wszystko fantazja.

— Jak tam dotrzeć, Bunny? — spytałem.

Zsunął kawę z ognia. Z półki zdjął cynowy kubek.

— Chcesz wiedzieć koniecznie? Popatrz.

Usiadł przy mnie na ławie z kubkiem w rękę. Odwrócił go denkiem do góry i jał na nim rysować ostrzem noża ujętym w dwa palce.

— To jest Jukon i Snake River, która wpada do niego. To jezioro Węży i Półwysep Bobrów. Od nasady półwyspu idziesz wprost na północ — dwieście mil za gwiazdą polarną. Trafisz wprost na miejsce. Góry Crooksa są pasmem niedługim. Na samym ich skraju, ponad barren, sterczy Głowa Tetona.

W blaskach ognia linie kreślone ostrzem na matowej blasze zabłysły srebrną siateczką. W miejscu, gdzie na mapie wypadał Teton, Bunny wyrzył gwiazdkę.

— Jeśli — mówił — znajdziesz tam grobowiec... — Śmieje się ze mnie, myślałem, ale

ja już wiem co mi potrzeba! — jeśli znajdziesz i zdołasz powrócić, staniesz się bogatym człowiekiem. Dawniej Tlingici chowali zmarłych z ogromnym przepychem. Znali w górach miejsca, gdzie złoto zbierali garściami. Dawali zmarłym złote naczynia i ozdoby.

Podniosłem oczy z cynowego denka. Spojrzałem w okno. Za szklistą taflą fluoryzowały dwie blade plamki o rozstawie oczu człowieka. Odwróciłem głowę.

— Kładziemy się spać, Bunny — powiedziałem głośno. Wstałem z ławy przeciągając ramiona. Ziewałem szeroko. Skoczyłem do drzwi, szarpnąłem skobel. Wypadłem z chaty. Nikt nie stał pod oknem.

— Co tam — spytał Bunny — wyprawiasz?

Księżyc wznosił się ponad drzewa. Otaczał go krąg mglistej poświaty. Wkrótce spadną śniegi — pomyślałem. Drzewa wokół chaty i krzewy pod nimi kołysał szumiący wiatr. Ktoś się tam ukrywa? Może zdawało mi się tylko, że widziałem oczy? Mogło to być odbicie światła w szybie. Jeśli ktoś się tu kręci, czemu nie miałby przyjść do chaty?

Na wzgórzach czekały lisy. Poszarpią skórę niedźwiedzia — pomyślałem. — Chcę ją mieć w całości.

— Bunny! — rzekłem wracając po strzelbę. — Idę na noc do grizzly. Czekam cię o świcie.

Znaną ścieżką przeciąłem bagno i stok góry. Wkroczyłem na kamienie w łożysku potoku. Szedłem bezszelestnie po głazach. Wylot wąwozu znaczyły dwie skały. Były jak pylony u bram świątyni. Sterczały ponad drzewa. Przed nimi na rozległej wapiennej płycie, tyłem do mnie, stał lis. Uniósł jedną łapę. Postawił uszy. Czarny ogon wyprężył jak drut, drgał na boki. Zwęszył świeżą posokę — pomyślałem — ogarnia go ekstaza. Narkotyk krwi niedźwiedziej, rozsnuwany przez wiatr, wzywa z głębi nocy.

— Pssst — syknąłem.

Skoczył w bok. Znieruchomiał. Zaświecił oczami. Kitę postawił do góry. Na czarnym futrze srebrzyły się siwe pasma. Zdawał się być obsypany połyskliwym pudrem. Oczy mu gasły i zapalały się nowym odcieniem zieleni. Wiatr uderzył w drzewa. Stuknęły konary. Lis opuścił ogon. Spojrzał w stronę lasu. Zapomniał o mnie. Posznurował do krzewów. Skrył się w cieniu.

Teraz leży pod skałą. Szum wodospadu nie daje mi usnąć. U wylotu wąwozu lisy, wraz z wonią krwi niedźwiedziej, łowią zapach człowieka. Żaden się tu nie zbliży. Według wierzeń Indian duch grizzly będzie mi wdzięczny. Nie jest hańbą zginąć w otwartej walce. Jestem zwycięzcą i ciało grizzly uchroniłem przed poszarpaniem. Duch szarego niedźwiedzia błakający się w puszczy będzie mógł odejść do Krainy Wiecznych Łowów.

\* \* \*

Zbudziło mnie zimno. Ujrzałem oślepiającą jasność. Padał śnieg. Gęsty i gruby sypał się do wąwozu. Leżał na głazach, występach i tramach. Słońce dawno już weszło. Gdzie jest Bunny? Czemu jeszcze nie przyszedł? Ruszyłem w górę wąwozu. Martwy grizzly, nie tknięty, skrył się pod welonem puchu. Zawróciłem. Pobiegłem do chaty. Ujrzałem las w zimowej szacie. Pierwszy śnieg na łapach świerków, na krzaczkach borówek, na zwałonych pniach, igliwiu, kupach chrustu. Zbierałem czubkami mokasynów kopki zimnego pierza. Teraz — myślałem — będzie padał przez wiele miesięcy. Skryje całą puszcę. Drzewa i zakrzepłe rzeki. Zwierzęta leśne rozsnują na nim zawile ściegi tropów. Ciekaw jestem, czyj będzie pierwszy ślad, jaki napotkam?

Wzdłuż podnóża góry biegły odciski stóp trzech ludzi. Ginęły w lesie. Szli jakby wprost z chaty — przyszło mi do głowy. — Byli w niej z pewnością. Puściłem się biegiem. Ujrzałem dach nad krzewami i komin, z którego nie płynęła nawet smużka dymu. Bez tchu przebyłem ostatnie metry.

Drzwi były otwarte. Na ziemi, oprószony śniegiem, leżał Thick Bunny. Leżał twarzą ku dołowi. Dłonią przyciskał piersi. Odsunąłem palce. Pod bluzą, na ciele, był wlot kuli.

Stałem nad Thick Bunny'm. Śnieg kładł się nam na ramionach, osiadał we włosach i na nagich dłoniach. Słuchaj, Bunny — powtarzałem w myśli — ilekroć zamknę oczy, będę mógł przywołać twój obraz. Twój tułów okrągły jak beczka, opięty łośiowym kaftanem i gdy tylko zechcę, usłyszę twój głos dudniący jak w głębi jaskini i pierwsze słowa, które od ciebie usłyszałem: „Halo! Master! Co to macie taką wniebowziętą minę?” Zabrałeś mnie ze sobą i dotąd zawsze chodziliśmy razem. W Puszczy śmierć czai się na każdym kroku. Poznałem ją z bliska. Dlatego nie płaczę. Wczoraj zabiłem grizzly w walce nożem. Jestem już mężczyzną. Teraz odejdę, Bunny. Wiem co mam uczynić. Trop trzech ludzi utrwalił pierwszy śnieg zimowy.

Podniosłem oczy. Drzewa stały w bezruchu zasnute płatkami. Las milczał. Układał się do snu pod śniegiem. Teraz zwracam się do ciebie, Chiquito — przemawiałem w myślach. — Nie sądz, że rozstanie zdołało mnie odmienić. Stałem się tym kim pragnąłem. Jestem wolny i mógłbym powrócić do ciebie, ale czuję, że w sercu mężczyzny miłość do kobiety musi ustąpić innej sprawie. Potem cię odnajdę, gdziekolwiek będziesz.

Zbadałem otoczenie chaty. W krzakach odległych o osiemset jardów były resztki biwaku. Trzej mężczyźni spędzili tam noc w ukryciu. Ognia nie palili. Znalazłem skrawki mięsa, które jedli na zimno. Odgarniałem śnieg jodłową miotłką. Rozgrzebałem legowiska z liści. Muszę znaleźć coś — mówiłem sobie — po czym będę mógł ich rozpoznać. Choćby nitkę z ubrania. Nic tam nie leżało.

Przeszukałem chatę. Każdy cal podłogi, ściany i okna. Zniknął worek z prochem. Wybiegłem znów między drzewa. Na konarze sosny odkryłem miejsce, gdzie oparto lufy dubeltówki. Kora była zdarta. Po pniu osypały się drobiny prochu. Tutaj stał morderca. Czekał, aż o pierwszym świcie otworzą się drzwi chaty. Czy to jego oczy widziałem wczoraj przez szybę okienną?

Nagle zrozumiałem. Kubek! Znikł cynowy kubek, na którego denku Thick Bunny ostrzem noża nakreślił drogę do Wielkiego Tetona. Rozumiem — myślałem. — Trzej obcy przybyli w tę okolice. Postrzelili niedźwiedzia, który potem zapolował na mnie. Napotkali traperską chatę. Chcąc ją zrabować ukryli się w lesie. Czekali ciemności. Mieli zamiar zastrzelić traperę, aby ich nie ścigał. Wypatrzyli powrót dwóch ludzi, ujrzeni światło i dym płynący z komina. Wysłali na zwiady jednego z towarzyszy. Podkraść się do okna. Trafił na scenę, kiedy Bunny rył mapę na kubku i mówił: Od Półwyspu Bobrów pójdziesz wprost na północ, dwieście mil za gwiazdą polarną — jeśli znajdziesz i zdołasz powrócić, a dotrzeć tam można tylko zimą, będziesz bogatym człowiekiem, Indianie znali w górach miejsca, gdzie złoto zbierali garściami.

W tej chwili napotkał moje oczy. Nie dał się zwieść mojej pozornej obojętności. Natychmiast uciekł. Czym były planowane łupy w porównaniu z kubkiem mogącym zaprowadzić do skarbu? Otoczyli chatę. W oknie było ciemno. Nie wiedzieli, że tymczasem wyszedłem do wozu. Nie chcieli ryzykować walki w ciemności. Dwóch ludzi w chacie może się bronić przeważającym siłą. Czekali do świtu, aż wyjdziemy na zewnątrz. Chmury zakryły księżyc. Zaczął sypać śnieg. Szary brzask wydobył z mroku zarys chaty. Przetarli znużone oczy. Strzelby nabili na nowo, oparli o sęki. Wkrótce drzwi skrzypnęły. Wyszedł gruby człowiek. Linia biegnąca od zmrużonego oka, poprzez szczerbinę, do muszki, trafiała w wielką kieszeń na lewej piersi łośiowego kubraka. Palec drgnął na spuście.

\* \* \*

Na wysokim brzegu, skąd roztaczał się widok na zakola strumienia, na płaski brzeg przeciwległy, na amfiteatr wzgórz, zza których każdego rana wychylało się słońce, pochowa-

łem Thick Bunny'ego owinawszy go w skóry. Spiętrzyłem kamienie. Gdy rzucałem ostatni, na innych osiadł już ulotny puch.

Odszedłem za potrójnym tropem.

Wchłonęła mnie puszcza. Trop biegł między drzewa. Wszedłem na pagórki, przekraczałem parowy. Ze strzelbą w dłoni, z pochyloną głową, oczami utkwionymi w ślady stóp na śniegu biegłem bez przystanku. Są przede mną — myślałem — o trzy, cztery godziny marszu. Na szczęście śnieg przestaje padać, nie zakryje śladów. Chmurki pary z ust uciekały mi przez ramię. Strącałem okiście z jodeł. Chwytałem w przelocie garść płatków. Rozpuszczałem je w ustach. W myśli oceniałem przebytą odległość. Pięć, osiem, dwanaście mil. Zatrzymywałem się przy leśnych potokach. Padałem na kolana. Podparty dłońmi zbliżałem twarz do wody. Wydawała się czarna pośród zaśnieżonych brzegów. Zanurzałem usta, cierpły mi zęby. Szybki oddech burzył powierzchnię. Dnem prąd toczył kamyki i szczątki gałązek. Szemrał z cicha. Zrywałem się. Biegłem dalej. Wycierałem usta wierzchem dłoni. Trop stawał się coraz wyraźniejszy. Coraz łatwiej go odczytywałem. Przeczuliśmy pościg. Szli pospiesznie.

Zapadł wieczór. Nie będę tropił w nocy — postanowiłem. — Lepiej opóźnić pościg niż pójść fałszywym śladem. Zaszłem się pod jodeł. Zdjąłem plecak. Skuliłem się owinięty kocem. Nie paliłem ognia. Tamci mogli być w pobliżu. Po omacku wyjąłem kawał suszonego mięsa. Na dłoni pociąłem go w paski. Natarłem je odrobiną prochu. Nie miałem soli. Żułem przez godzinę. Nie byłem głodny. Nie wolno mi usnąć — powtarzałem — dopóki nie zjem tego.

O bladym świetle byłem już na nogach. Rozgrzałem się biegiem.

Nim zapuściłem się na otwarte miejsce, polanę, wiatrołom lub łysinę bagniska, badałem wzrokiem las po drugiej stronie. Lada moment mogłem się natknąć na ślad nocnego biwaku. Po wczorajszym marszu może śpią jeszcze? Zaskoczę ich śpiących? Natknąłem się na pień sosny. Zdmuchnąłem warstwę puchu. Pod spodem śnieg był wytopiony, przywarł do kory, zastygł zmieniony w lód. Na ziemi ubity był twardo. Spędzili tu kilkadziesiąt minut. Nie było resztek ogniska. Nie było śladów posłań.

— Twin City! — złapałem się za głowę. — Miasto! Rozumiem czemu nie stanęli na noc. Ślęczę tu nad zwaloną sosną, podczas kiedy oni zbliżają się już do pierwszych domów Twin City.

Wzeszło słońce. Chmury odpłynęły. Las wypełnił się szmerem kropel. Czapy śniegu nasiąknięte wodą zsuwały się z gałęzi. Przesadzałem wykroty. Padałem na kolana. Podrywałem się i biegłem dalej. Pot spływał mi wzdłuż nosa.

Koło południa wychynałem z lasów. Ujrzałem dolinę Jukonu. Piaszczysta skarpa opadała kilkadziesiąt jardów. W dole ciągnęły się puste szczytki, suche zakola starorzeczy, grzebienie skałek sterczących z podłoża i spiętrzone torosy bali wyrzuconych przez powódź. A dalej, od południowego horyzontu ku północnemu, pełzała wielka rzeka Jukon niosąc ołowiane wody ku Cieśninie Beringa.

Patrzałem na Twin City. Tysiąc domów rozciągniętych wzdłuż brzegu. Z szarych dachów podnoszą się kolumny dymu. Połączone w górze wiszą brudnym obłokiem. Mrowie ludzi przebiega jedyną ulicą. Roją się w dziesiątkach zaułków. Trop zgubiony. Zdeptuje go tysiąc nóg.

Do wieczora pozostałem w lesie. Gdy zapadły ciemności, okrążyłem miasto. Wejść z innej strony niż mordercy — zdecydowałem. Mogliby czyhać na mnie pośród pierwszych domów. Muszę się ukrywać. Jeden z nich widział mnie przez okno chaty Bunny'ego.

Miałem już nowy plan w głowie. Sami wpadną mi w ręce. Nie po to zrabowali cynowy kubek z mapą, aby pić z niego kawę. Tej jeszcze zimy wyruszą po złoto i tej zimy Wielki Teton będzie świadkiem ich zguby. Tam zaczekam na nich.

## V

Trzymam je nad rzeką — powiedział Flint Foster. — W lecie, kiedy nie pracują, są uwiązane blisko wody. Dostają żarcie raz na tydzień. Teraz, kiedy pójdą w zaprzęgu, musisz je karmić raz dziennie, ale i tak będą zawsze głodne.

Schodziliśmy ku rzece. Flint Foster cedził słowa. Zaciskał zęby na fajce. Biała broda leżała mu na piersiach. Szedł z odkrytą głową. Sploty siwych włosów zakręconych w pukle opierały się na ramionach i rozsypywały po plecach Fostera. Wyszliśmy zza rogu szopy. Ujrzałem szereg palików i psy uwiązane na łańcuchach. Zwinięte ogony chwiały się jak pióropusze. Psy zerwały się z ziemi. Napięły łańcuchy. Spiczaste uszy i żywe, bystre oczy skierowały ku swemu panu. Podchodził do wszystkich. Klepał je po głowie. Wspinały się na niego. Te, do których jeszcze nie dotarł, szarpały łańcuchy, szczekały i wyły. Podszedłem do psa, który leżał spokojnie. Był ceglasterudy z białymi plamami na barkach. Oparł pysk na łapach. Patrzył obojętnie. Kiedy przystanąłem, podniósł górną wargę. Obnażył rząd zębów. Zmarszczył nos. Skoczył. Upadł szarpnięty łańcuchem. Stał na sztywnych nogach. Patrzył bokiem. Kły miał wciąż odsłonięte. Głuchy warkot przelewał mu się w gardzieli.

— To Fix — powiedział Flint Foster — przodownik zaprzęgu, najsilniejszy ze sfory. Przewraca wilka rzutem ciała.

Ciekawy jestem — myślałem — jak zdołam założyć mu uprząż? Zanim uporam się z jednym, pozostałe bestie rozedrą mnie na sztuki.

— Musisz — powiedział Foster — oswoić je stopniowo.

— Chciałem jutro ruszyć.

— O tym nie myśl nawet. Co najmniej przez tydzień będziesz przychodził tutaj i dawał im żarcie. Poganiacz od pierwszej chwili musi zdobyć ich szacunek. Wbijesz go im batem i wpoisz suszoną rybą. Kiedy cię poznają, przywykną do ciebie, zaczną się bać i szanować — zdobędziesz dwunastu towarzyszy, z którymi dotrzesz wszędzie. — Pociągnął z fajki. Wypuścił kłęb dymu. — Ciężko mi się rozstać z nimi. Zeszłej zimy pokonaliśmy razem tysiąc mil szlaku. Teraz ci ich przedstawię... — wyciągnął fajkę w stronę Fixa. — Tego już poznałeś. Następny to Major. Ma w żyłach więcej niż inne krwi wilczej. Jest brunatnoszary. W puszczy, po dniu najcięższej pracy zamiast spać pod śniegiem wymyka się z obozu. Wraca z okrwawionym pyskiem. Te dwa za nim, biało-czarne, trzymają się zawsze razem. Snup jest słabszy od Ringa. Szuka jego opieki. Walczą ramię przy ramieniu przeciwko wspólnemu wrogowi, którym jest Togo — ten czarny. Wystrzępiły mu uszy. Ilekroć są wolne, rzucają się na niego. Musisz je mieć na oku. Dalej są Sigis, Hai, Ice, Push, Tom, Inky...

Wszystko dobrze — myślałem — dopóki Flint Foster trzyma mnie pod ramię. Psy patrzą mu w oczy, kręcą ogonami. Wywiesiły różowe języki. Za tydzień będę z nimi sam w puszczy. Dwanaście paszcz pokaże mi zęby. Czterdzieści osiem nóg spręży się do skoku, dwadzieścia cztery źrenice zabłysną żądzą mordy...

— Ostatni to Jeppe, czarno-rudy. Jeżeli nie zatkasz mu pyska w księżycowe noce, nie uśniesz do rana. Teraz chodź do domu.

Z rękami w kieszeniach poszliśmy kamienistą ścieżką. Foster pchnął drzwi ramieniem. Trzasnęły za nami. Usiadłem na ławie.

— Nie chcę za nie dużo — powiedział. — Nikt nie wie, jak mi ciężko pożegnać się z nimi. Podszedł do półki wiszącej na ścianie. Odsunął zasłonę z dziurawego koca. Wsunął dłoń między szklane naczynia. Wyjął butelkę. Uniósł ją pod światło. Odstawił na miejsce. Wyjął fajkę z zębów. — Nie mam — powiedział — nie mam nawet czym cię poczęstować: Najlepiej jeśli od razu dasz mi umówioną sumę.

Rozsuplałem woreczek. Wybac, Bunny — tłumaczyłem się w myśli — musiałem wziąć je ze skrytki. Kiedyś zwrócę je wszystkie do dziupli starego buka. Wyjąłem garść

monet. Przeliczyłem na dłoni.

— Masz tu — powiedziałem — połowę.

\* \* \*

Każdego rana przemierzałem miasto. Opuszczałem hotelik „Pod Gwiazdą Polarną”. Szedłem na wybrzeże do Flint Fostera. O tej porze ruch był niewielki. Ulica ożywała wieczorem. Płonęły naftowe lampy. Blask padał z salonów. Słyszałem mężczyzn śpiewających Sweet Mary i Yankee Doodle, kiedy już byli całkiem pijani. Wytaczali się z domów, krążyli po zaułkach, spali w śniegu. W ciągu całej nocy brzmiały suche strzały pistoletów. Chwilami zrywała się gęsta palba. Ranki były spokojne. Twin City kryło się w welonie płatków. Szedłem jedyną ulicą, pośród drewnianych domów. Na gankach i nad drzwiami czytałem napisy:

BEAVER SALOON — BEST WHISKY

albo

TU! WSZYSTKO CZEGO CI TRZEBA!!!

— Twin City — powiedział Flint Foster — wyrosło w ciągu roku, kiedy odkryto złoto w okolicy. Teraz jest tu więcej niebieskich ptaków, szynkarzy i szulerów niż poszukiwaczy złota.

Wychodziłem o świcie. Szedłem przez miasto z czapką spuszczoną na oczy, z podniesionym kołnierzem. Wracałem o zmroku. Dzień spędzałem z psami. Gdy po raz pierwszy ukazałem się im bez Flinta, porwały się na nogi. Patrzyły przechylając głowy, chwiałały ogonami. Wiem co tak witacie — mówiłem do nich — to na cześć tej skrzynki, którą niosę na ramieniu. Znać ją od dawna. Husky przenosiły wzrok na mnie. Drgały im wargi odsłaniając zęby. Rzucałem porcje, cofałem się. Widziałem jak płyty sztokfiska suche i twarde jak deska strzępią się w paszczach na wióry i znikają przełknięte w kawałach. Psy oblizywały pyski i znów stałem wobec dwunastu par oczu czarnych, brązowych, zielonych. Są wcieloną wrogością — myślałem. — Jestem dla nich obcym, którego każdy ruch jest podejrzany.

Dzień po dniu przychodziłem je karmić. Zostawałem do zmroku. Na oczach psów rąbałem drzewo Fosterowi. Spacerując wzdłuż brzegu ćwiczyłem się w użyciu bata. Końcem pięciojardowego rzemienia starałem się trafiać w kamienie. Husky zrywały się na nogi. Wodziły za mną oczami. Gdy zbliżyłem się za bardzo, kłapały zęby, szczękały łańcuchy.

Wkrótce przestały się podnosić. Śledziły mnie siedząc albo leżąc. Trzeciego dnia Fix, przodownik sfory, zwinął się w kłębek i usnął w mojej obecności. Nakrył nos ogonem. Naza jutrz zbliżyłem się z kijem i podrapałem nim Fixa po grzbiecie. W mgnieniu oka kij był porwany na strzępy. Powtarzałem próbę i nadszedł dzień, kiedy pies otworzył tylko oko. Zamknął je z powrotem. Oparłem mu dłoń na głowie.

\* \* \*

— Posłuchajcie starego, sir, przecież dobrze wam radzę. Dwadzieścia lat spędziłem na szlaku...

W magazynie Skeltona pochylałem się nad stosem towarów. Oglądałem wór do spania z lisich futer. Zagłębiłem w nim rękę. Utonęła w jedwabistym włosiu.

— Rzućcie to, sir, to nie dla was, jest zbyt delikatny. Podrzecie go na biwakach. Mam tu śpiwór ze skóry karibu...

Wywlókl go ze skrzyni.

— Patrzcie! — mówił. — Jest z ciemnego futra. Cienkie, jasne futerko z podbrzusza zostało wycięte. Przez cienkie futro zimno dostaje się łatwo do środka. Wilgoć osiada na skórze

kryształkami szronu. Włos zaczyna wyłazić, śpiwór linieje.

— Dobrze — odrzekłem. — Teraz dobierzcie mi buty.

Usiadłem, aby je przymierzyć. Pod spód włożyłem dwie pary skarpet z psiej wełny. Skelton przyniósł karpie. Zbadałem obręcz z jesionu giętego nad parą. Elastycznie napinały plecionkę z rzemieni. W środku siatki było miejsce na stopę i rzemienie do wiązania buta.

— Możesz w nich biegać po najlżejszym puchu, wpadną zaledwie kilka cali.

Potrzebne mi są jeszcze — rozważałem w myśli - dobre rękawice, anorak...

— Czy dostanę u was także żywność? — spytałem Skeltona.

— Traper wozi ze sobą cztery rzeczy — odparł — kawę, mąkę, sól i ryby dla sfory. Resztę zdobywa polowaniem. Ile wam dać kawy?

\* \* \*

Rozchyliłem gałęzie. Wierzchołki świerków płonęły czerwienią. Ruda tarcza wschodziła nad Jukonem. Słyszałem szczekanie i trzask bata.

— Hellooo! — wołał Flint Foster. — Gdzie jesteście?

Wyskoczyłem spod świerka. Psy stanęły.

— Dziękuję. Foster — powiedziałem. — Wracajcie do miasta. Czy nikt was nie widział?

Psy stały parami po dwóch stronach linki uwiązanej do sanek. Ziały parą z pysków. Flint Foster podszedł po skrzypiącym śniegu. Podał mi biczysko. Ująłem trzonek obciążony skórą. Uścisnęliśmy dłonie. Odszedł między drzewa. Znikł mi z oczu.

Świsnąłem batem nad zaprzęgiem. Psy stuliły uszy.

— Naprzód! — zawołałem.

Sanie drgnęły i znieruchomiały.

— Naprzód! — powtórzyłem.

Koniec bata musnął grzbiety sfory. Znow ruszyły i utknęły w miejscu. W pierwszej parze stał Fix przodownik zaprzęgu. On je powstrzymuje — pomyślałem. — Jego trzeba przekonać, kto tu daje rozkazy. Ująłem Fixa za kudły na karku i pociągnąłem naprzód. Wystrzeliłem z bata. Psy znow ruszyły i Jeppe idący w drugiej parze wpadł nosem na Fixa. Ten warknął. Zaparł się łapami. Stał jak wmurowany. Zostało tylko bicie — pomyślałem. Rzemień świstał w powietrzu. Rozszczepiony koniec spadał na plecy Fixa. Czarną błyskawicą śmigał nad saniami. Śnieg sypał się z gałęzi. Padły obcięte końce gałązek świerkowych. Psy szarpały uprząż. Podniosły ujadanie. Jeppe wył stuliwszy ogon. Fix schylił głowę między łapy. Pchnąłem go trzonkiem bata.

— Naprzód, Fix!

Nie uczynił kroku. W takim razie — przyszło mi do głowy — zmienię przodownika. Zszyi Fixa zdjąłem skórzany pierścień. Odpiąłem go od linki pociągowej. Rzuciłem na sanie. Psa popchnąłem na bok. Odbiegł kilka kroków. Na czele sfory został Major.

Wysunęły się głowy, wyprężyły łapy. Sanie skrzypnęły. Popęzły za sforą. Biegłem przodem. Tuż za mną otwarty pysk Majora ział kłębami pary. Wówczas ponad zaspą, między pniami świerków, śmignął ceglasterudy piorun i uderzył w zaprzęg. Ujrzałem kłęb futer czarnych, rudych i białych. Kotłowały się w tumanie pyłu. Skowyt i warczenie napełniły puszcę. Trysnęła krew, sypały się kłaki. Dopadłem walczącej sfory. Ciosów bata nawet nie poczują! Mignął mi płomienny grzbiet Fixa. Chwyciłem go za ogon i za grzywę na karku. Wyrwałem z gromady. Rzuciłem na bok. Porwał się na nogi. Obiegł mnie dokoła, aby wrócić do walki. Ciosami bata przepędziłem go w krzaki. Biegł kulejąc. Zostawiał krwawe tropy.

— Snup! Ring! Togo! — przekrzykiwałem psi skowyt. Walilem je po pyskach. Zaprzestały walki. Potykały się w splotach uprzęży. Wszedłem w środek sfory. Uwolniłem nogi zaciśnięte rzemieniami. Rozwikłałem pętlę duszącą Inky. Oblizywały pyski i pogryzione łapy.



Ustawiłem je w dawnym szyku.

Biegłem przodem ubijając śnieg karplami. Wybierałem drogę pośród wykrotów, przejścia między pagórkami, uliczki pośród kolumn jodeł. Gonił mnie skrzyp płóz i szmer psich oddechów.

\* \* \*

Słup dymu ginał w ciemnościach. Podświetlone od dołu szare zwoje odpływały w gałęzie. Wiatr poruszył lasem i poprzez brudny opar sypały się kryształki śniegu. Błyskały srebrem prósząc w ogień. Niebo jest wciąż ciemne. Pokrywają je chmury — myślałem. — Nie widać żadnej gwiazdy. Dorzuciłem polano. Frunęły płatki zwęglonej kory. Śnieg wytapiał się kręgiem. Syczały krople wody w drzewie. Odkąd opuściłem Twin City — myślałem — trzy dni temu, życie stało się proste. Mam jeden cel przed sobą. W tej chwili być może z miasta wyrusza trzech ludzi. Podążają puszcza podług wskazań Bunny'ego i mapy na cynowym kubku. „Na północ od Półwyspu Bobrów”. Ujrzałem go wczoraj. Psy biegły po lodowej tafli. Pomogłem im wywlec sanie na stromy brzeg półwyspu. Teraz siedzę przy ogniu. Psy usnęły w śniegu. Czekam na Gwiazdę Polarną.

Pod drzewami, poza kręgiem blasku, śnieg się zakotłował. Błysnęły psie oczy. Usłyszałem charkot. Walczą? Były uwiązane! Wyrwałem gałąź z ogniska. Skoczyłem ku nim. Czerwone światło pełgało po śniegu. Major leżał na boku. Kiwał ogonem. Nad nim okrakiem, na sztywnych nogach stał Fix. Jeżył futro. Głucho warczał. Dostrzegł mnie i jednym susem skoczył między drzewa. Wrócił — pomyślałem. — Szedł śladem zaprzęgu. Dowiódł Majorowi, że jest wciąż jeszcze władcą sfory. Nie wie tylko co ja na to powiem. Z troków na saniach wyjąłem płat sztokfisa. Rzuciłem ku pyskowi wychylającemu się zza drzewa.

Ocknąłem się po północy. Ogień wygasł. Na bierwionach tliły się czerwone punkty. Węże żaru pełzały w popiele. Niebo było czyste. Mleczna Droga rozpiniała się łukiem nad puszcza. W zenicie lśniło siedem gwiazd Wielkiego Wozu, a niżej samotna Gwiazda Polarna.

— Teraz znam już drogę — szepnąłem. — Odtąd będę szedł nocą, biwakował we dnie. — Fix! Togo! Sigis!

Psy rozespiane wylaziły ze śniegu, ziewały. Stawiałem je parami. Zakładałem uprząż. Strząsały śnieg z kudłów. Księżyc wytoczył się na wzgórze za jeziorem Bobrów. Rozjarzył połacie śniegu.

— Naprzód! — zawołałem.

Fix pochylił głowę, sprężył łapy. Ruszył drobnym truchtem.

## VI

Z dniem każdym słońce pojawiało się później. O pierwszym brzasku, kiedy bladły gwiazdy, zatrzymywałem sforę. Rozdawałem psom żarcie. Rąbałem drzewo. Na roznach wystruganych z gałęzi obracałem pieczenie. Tłuszcz kapał do ognisk. Na patelni smażyłem placki z mąki z wodą, łykałem wrzącą kawę. Usypiałem na posłaniach świerkowych. Wycie wilków płynęło z głębi lasu.

Pośród trzasków bata zaprzęg mknął pod kolumnami jodeł. Wskakiwałem na sanie. Fix prowadził sforę. Podnosiłem oczy ku Gwieździe Północnej. Obliczałem mile. Te z tyłu, dzielące mnie od Twin City, od chaty Thick Bunny'ego, od domu Chiquity i te do przebycia w nadchodzące noce.

Psy trafiały na ślady wilcze. Porzucały szlak. Rwały się świeżym tropem. Kłapały twardo szczęki. Jeżyły się grzywy. Świstał bat. Wiązałem porwane rzemienie.

Major szczechnął krótko. Rzucił się na bok. Pociągnięty przez Fixa upadł. Poderwał się. Wleczony linką wpierał w lód łapy. Rwał się w swoją stronę. Warczał wściekle. Teraz Fix stanął jak wryty. Za nim inne husky. Ujrzałem marszczące się nosy i kły lśniące bielą. Podbiegłem z batem. Wyrwałem zza pasa trzonek. Nie zważały na mnie. Wlepiły oczy w pustkę. Pomruk wzbierał w dwunastu gardzielach. Szarpnęły saniami, przewróciły je na bok. Chwyciłem za płożę. Wstrzymałem ucieczkę. Dźwięczał lód darty pazurami. Spojrzałem ponad psami. Od linii lasu, po lodowatej tafli gnało ku nam półkole czarnych cieni. Księżyc świecił w wilcze ślepie. Tu i ówdzie w rozpędzonym zagonie zapalały się źrenice. Rozjarzał się i gaś zielony promień. Wpadłem między husky. Czulem dygotanie ich napiętych mięśni. Ciosami noża rwałem uprząż. Upadłem na kolana. W gęstwie kudłów szukałem linek, przecinałem sploty. Wokół uszu brzmiało mi szczekanie zębów. Jeszcze Hai, jeszcze Ice — tłukło mi się w głowie. Chowałem ją w ramiona. Kiedy poczuję na karku uchwyt wilczej paszczy? Ostatni husky prysnął mi spod ręki. Poszedł po lodzie prując pył unoszony wiatrem. Zrzuciłem rękawice. Zdarłem z nóg karple. Spod sznura krepującego ładunek na saniach wyrwałem strzelbę. Nagie palce lepiły się do stali. Uniosłem lufę. Po tafli jeziora, w martwym blasku nocy, poprzez nisko sunącą kurzawę, gnały ku sobie dwie sfory. Szare wilczury o bokach ściśniętych głodem, o twardej jak turzyca szczeci, gnane pragnieniem ciepłego mięsa i naprzeciw nim, dwanaście eskimoskich husky, co dzień karmionych, o mięśniach ze stali i powłoczce tresury tak cienkiej, że pękła w mgnieniu oka wyzwalając drzemiące bestie. Pierwszy Major przeciął tor wilka. Uderzył go piersią, rzucił na bok. Łapy wierzgnęły w powietrzu. Pies śmignął dalej, zwarł się z drugim wilkiem. Ice, Push, Sigis dopadły przeciwnika. Rude i białe barki zwarły się z szarymi. Wiatr podrywał kurzawę. Przesłaniał pole bitwy. Rozpędzone ciała zderzały się głucho. Podniosły się charkoty i zgrzyt zębów bijących o zęby.

Drugi zagon wilków wyłonił się z boku. Drugie ramię oblawy — błysnęła mi myśl. Strzeliłem opierając strzelbę na saniach. Czarne cielsko zrolowało po lodzie. Szare cienie dopadły mnie z boku. Wbiłem lufę w otwartą paszczę. Skoczyłem ku drugiemu. Siwy basior runął mi na piersi. Przedramieniem zasłoniłem szyję. Wbił zęby w rękaw z twardej skóry karibu. Rzucił mnie na plecy. Przygniatał łapami. Sięgnąłem do pasa. Pochwa noża była pusta. Lewe przedramię tkwiło w paszczy wilka, prawym objąłem go za szyję z góry. Ścisnąłem jak w kleszczach. Nagłymi skurczami odginałem mu łeb do tyłu. Podciągnąłem kolana. Targnął się. Darł łapami. Czulem ciosy na brzuchu i udach. Zaciskałem uchwyt. Serce biło mi z wysileniem. Zaraz umrę — myślałem. Pierś basiora przywarła do mojej. Drżała zdławionym skowytym. Z pyska wychnął bryzgi śluzu. Ruchy łap ustały. Kark zwiotczał. Wilk opadł na bok. Trzymałem szary łeb w objęciu. Wiatr przepędzał po nas fale suchego śniegu. Sypały mi się w oczy. Biły po policzkach. Milionem blaszek łyssały odbijając promienie miesiąca. Wyrwałem uwieszone ramię. Jąłem szukać wokół siebie. Porwałem nóż zgubiony przy upadku. Skoczyłem ku sforze. Dojrzałem dławionego Snupa. Dopadłem wilka. Błysnął oczyma, zerwał się do skoku. Snup przeciął mu gardło. Ramię w ramię ze Snupem wpadliśmy na dwa wilki kotłujące się z Fixem. Gniotły go pod sobą. Snup uderzył jak piorun. Powalił przeciwnika. Uwolniony Fix, zboczony krwią runął w środek bitwy. Uderzenie z tyłu podcięło mi nogi. Upadłem na kolana. Pies i wilk splecione toczyły się po lodzie. Jakies zęby zwarły mi się na barku. Zadawałem ciosy. Łowiłem błyski zębów. Parowałem uderzenia. Wdychałem zapach krwi i odór wilków. Wśród kłębiących się ciał szukałem dłonią twardej wilczej turzycy. Wsuwałem tam błyskawicę klingi. Szare cielska wiły się na lodzie. Zdołałem powstać. Ujrzałem cienie wymykające się ku lasowi. Sznurowały chyłkiem w kurzawie. Togo i Jeppe ruszyły w pogoń.

Usłyszałem świszczący oddech. Inky leżał bezwładnie. Pochyliłem się nad nim. Miał rozdarte gardło. Odszukałem strzelbę. Nabiłem. Oczy Inky powlekała mgła. Sztywnym jak drewno palcem docisnąłem spust.

Major, Hai, Ring i Sigis leżały ciche i spokojne. Wiatr mierzwił im futro, obsypywał

śniegiem.

Ramieniem podważyłem sanie. Opadły na płozy. Pozbierałem uprząż. Stałem z tyłu i jałem pchać. Sanie ruszyły. Noga uciekła mi raz i drugi po lodowej bryle. Opuściłem głowę i pchałem. Patrzałem na stopy owiewane śniegiem. Sanie zaryły się w zaspę. Byłem na skraju lasu. Wydobyłem siekiere. Ścisnąłem drzewce zgrabiętymi palcami. Zrąbałem suchą jodełkę. Zapaliłem ogień. W jego świetle rąbałem dalej. Martwe świerczki i żywe gałęzie czarnej sosny poskręcane nad ziemią. Płomień podniósł się na kilka jardów.

Wbiłem w śnieg kije. Rozwiesiłem na nich brezentową płachtę. Wsunąłem się między nią a ogień. Zanurzyłem w fali żaru odbitej od płótna. Zwlokłem anorak i koszulę. Krew powracała mi do palców. Topniał śnieg na brodzie. Znalazłem sine ślady na ramieniu.

W krąg światła wsunęły się Fix i Snu. Przykulał Tom i Ice z zalepionym krwią okiem. Kładły się przy ogniu. Lizwały zmierzwione futra, pozlepiane soplami krwi i lodu. Z mroków nocy wyłonił się Push. Niósł coś w pysku. Na sztywnych łapach przeszedł obok Fixa. Warknął. Położył się przy mnie. Obrabiał zębami wilczą nogę. Togo i Jeppe nie wróciły z pogoni.

Lasy zrzedły. Szlak wiódł przez faliste pagórki. Wiatr zawodził. Pochylał karłowate świerki. Skręcone odrośla wskazywały południe. Odwracałem się plecami, by przeczekać uderzenia zadymki. Psy mrużyły oczy. Na świerczkach rosły igły sadzi. Huragany dmuchały w nie, budząc jęklive i piszczące tony.

Słońce zaledwie wznosiło się na kilka godzin. Płomienne kolisko pełzało brzegiem nieba. Powolnym łukiem sunęło ku ziemi. Oblane krwią zapadało w płożące się chmury.

Skończyły się drzewa. Pięć psów wlokło sanie równiną. Przebijały łapami skorupę szreni, raniły się o nią. Ślizgały się na lodzie lub grzęzły po brzuchy w zaspach pyłu miałkiego jak cukier. Słońce już nie wzeszło. Zaledwie nikła poświata zabarwiła skrawek nieba w samo południe. Cofnęła się i czarne niebo zawisło nad ziemią. Prowadziłem sforę w świetle gwiazd i księżyca. Jestem w sercu barren — myślałem — za kręgiem polarnym. Pod skorupą śniegu tulą się do ziemi gałązki mchu. Karłowate wierzby wychylają listki spod kamieni. Upłyną miesiące zanim wróci dzieńne światło.

Mgła opadła na barren. Mleczne pasma rozlały się nad ziemią. Spowity sforę i sanie. Patrzac w górę, przez rzędzące opary widziałem gwiazdy i księżyc w otoczce blasku. Góry Crooksa — myślałem — są tu już gdzieś blisko za mlecznym welonem. Zbliża mnie ku nim każdy krok po ziemi, której nie mogę dostrzec. Pierwszy wiatr je odsłoni.

Zerwał się blizzard. Przyniósł chmury. Przewracał psy. Odbierał oddech. Wyprzęgłem husky. Wygrzebały nory. Usnęły zwinięte ciasno. Pokryła je zaspą. Nożem i rękami wykopałem rów w śniegu. Nad nim ustawiłem sanie. Wczołgałem się tam ze śpiworem. Spałem wiele godzin. Nasłuchiwałem ryku wichury. Usypiałem znowu. Leżę tak już dwie lub trzy doby — myślałem. Blizzard nie ustaje. Ziemia drży jakby w pobliżu biegły tabuny mustangów. Rozchylałem otwór śpiwora. Wysuwałem palce. Tuż nad głową wisiał drewniany spód sań. Oddech pokrył go lodem. Jestem zasypany śniegiem — myślałem — wiatr buduje kurhan. Nie zdołam go odwalić... Usypiałem. Budziło mnie dygotanie stropu pod ciosami nawałnicy. Zapadałem w letarg. Marzyłem. Zjawiała się Chiquita. Dotykałem wargami jej palców. Widziałem czerń jej włosów.

Ocknąłem się w martwej ciszy. Słyszałem tykot serca. Przemogłem bezwład ciała. Jestem słaby z głodu — pomyślałem. Rozplątałem rzemień u wylotu śpiwora. Wyjąłem rękę. Chciałem usiąść. Uderzyłem czołem w sklepienie. Odwróciłem się na brzuch. Próbowałem podważyć plecami sanie. Nie zdołałem ich ruszyć. Jałem drążyć tunel. Wytrzeszczałem oczy w zupełnej ciemności. Chciałem dostrzec promień księżyca sączący się przez zaspę. Zbity jak gips śnieg kruszyłem nożem. Rozpadał się w kawały. Chrząścił i zgrzytał przecinany klingą. Sunąc na łokciach zdobywałem teren. Mdląła mi ręka. Przerzucałem nóż do drugiej. Czerwone plamy pływały przed oczyma. Opuszczałem głowę. Kładłem policzek na śniegu. Martwia-

ła skóra. Nigdy stąd nie wyjdę — myślałem. Nie wiem gdzie dół i góra. Może pełzam w głąb zasy? Podrywałem się. Rwałem śnieg na bryły. Zgarniałem je dłońmi. Wpychałem pod siebie. Odsuwałem pod brzuch i kolana. Tonałem w śniegu. Miałem nabitą nim brodę. Sypał się za kołnierz, do rękawów i uszu. Topniał na ciele. Nóż trafił na skorupę lodu. Przebił ją. Wystawiłem rękę. Wpadło mroźne powietrze. Głową i rękami poszerzyłem otwór. Wywlokłem tułów. Klęcząc patrzyłem na niego. Nocna kopuła usiana gwiazdami nakrywała ziemię — płaską, bezkresną równinę bielejącą w półmroku. Między niebem a ziemią był przestwór pełen zimnego powietrza, czystego jak kryształ, cichego. Słyszałem szelest okrucich lodu spadających z ubrania. Powstałem. Uczyniłem kilka chwiejnych kroków po milczącym barren. Przetarłem powieki. Czerwony poblask na lodach nie ustąpił. Odwróciłem głowę...

Czarnym słupem wyrastał pod niebo Wielki Teton. Tkwił na cokole śnieżystych pagórków. Samotna skała w kształcie głowy. Patrzyłem w górę na najwyższe, skrzęsane płyty. Powleczone błoną lodu, wypukłe, lśniły matowym blaskiem. To jego czoło — myślałem. Niżej, w cieniu nawisłych głazów, niby łuków brwiowych kryją się oczy. Wpadnięte do czaszki, ukryte źrenice śledzą barren. Ogarniają polarną pustkę. Z urwiska-twarzy sterczy skalny filar, nos Tetona. Zaś pod nim ciemnieje ukośna rysa, głębokie zacięcie. Skalne wargi nie są całkiem zwarte. One kryją tajemnicę legendy! Tam się trzeba wdrzeć. Podniosłem oczy ku wypiętrzony kopule czaszki. Okryła ją peruka śniegu. Wiatr szumiał górą. Porywał chmury pyłu i roztaczał je w mgliste aureole, wyciągał w warkocze, zdmuchiwał. Miałka kurzawa sypała się po obliczu skały. Przesłaniała mgiełką oczodoły. Strugi śnieżnego piasku spływały po płytach z sykiem tysiąca węży. Siwizna oprószyła łuki brwiowe.

— Jestem — powiedziałem. — Przyszedłem, Wielki Tetonie! Odkryj mi tajemnicę i pozwól ukarać morderców. Będę tu czekał na nich. Patrzysz dalej i bystrzej od człowieka. Czy dostrzegasz na równinie barren trzy sylwetki nadchodzące z południa?

Za kopułą skały dojrzałem kopce pagórków. Spiętrzały się w ostre granie. Był to łańcuch Crooksa. Szczyty bodły niebo. Na nim, na czarnej płachcie nocy płonęła krwawa zorza. Lance promieni strzelały nad horyzont. Ułożone w wachlarze drgały i płynęły, zmieniały się w draperie blasku. Gasiły gwiazdy, przyćmiewały księżyc. Na śniegach, na włosach Tetona, na twarzy i dłoniach człowieka, na sierści psów wylazających z ukrycia pod zaspami kładły osad czerwieni.

## VII

Rozgrzewałem palce. Wsuwałem je między wargi. Oddech oblewał ciepłem poranione kostki. Krew wracała pod paznokcie. Chowałem dłoń do rękawicy. Wspinałem się dalej. Odgarniałem śnieg ze skalnych półek. Oczyszczałem je z lodu. Nożem wydłubywałem uchwyty dla palców. Buty opierałem na wąskich listewkach. Czułem jak zsuwają się po śliskim szklawie, podczas gdy nad głową szukam chwytu dla ręki. Wodziłem nią po szorstkich płytach. Wsuwałem do szczelin, próbowałem obejmować wypukłości skały. Na koniec, kiedy zeszywniały nogi już tylko na czubkach butów ledwo dźwigały ciężar ciała, kiedy powtarzałem już sobie — nie utrzymam się dłużej! — udawało mi się wbić nóż w rozpadlinę i zawisnąć na trzonku. Uspokajał się oddech. Mijało drzenie kolan.

W dole, płaskie i odległe, leżało barren. Pełzały po nim strugi wiatru. Wiły się węże zmiatanego śniegu. Nad tym wszystkim, na środku skały przerośniętej lodem, wisiał skostniały człowiek. Czarną plamką wznosił się na urwisko. Zaczył swój szlak nitką do pasa uwiązanej liny. Śnieg sypał mi się na barki. Zmarznięte rękawy anoraka raniły przeguby rąk jak obręcze ze stalowej blachy.

Przewinałem się przez krawędź skalnej półki. Leżałem na niej brzuchem. Poznałem, że

to usta Tetona. Kamienny okap wisiał mi nad głową. W głębi było ciemno. Krzyknąłem. Głuche echo odbiło się we wnętrzu skały. Powróciło z czarnej szczeliny. Leżałem nasłuchując. Czułem bliską obecność mrocznej, pustej przestrzeni. Po plecach przebiegały mi dreszcze. W chwilę potem ogarniała mnie gorączka. Ciemność przesłaniała tajemnicę. Po głowie tłukły się wspomnienia. Widziałem twarze i słyszałem głosy ludzi, którzy z oddalenia ślali mi słowa przestróg — „Wracaj! Cofnij się stamtąd! Nie próbuj wejść do sanktuarium”. Za późno — myślałem. Nikt nie zdołał mnie cofnąć. Szedłem tu zbyt długo. Zbyt długo tego pragnąłem.

Uniosłem się na kolanach, posunąłem w głąb grotu. Przywleczoną rzemienną linę umocowałem do głazu. Zmartwiałyimi palcami splatałem węzeł. Przemawiałem do wielkiego Tetona. Nie czułem lęku. Wierzyłem, że powrócę cało z paszczy. Zdawało mi się, że mówię do żywej postaci, że jej skalne uszy słuchają mnie życzliwie.

Grunt uciekł mi spod kolan. Upadłem na piersi. Wchłonęła mnie ciemność. Toczyłem się po stoku wpadając w głazy, porywając lawiny żwiru. Grzmotnąłem plecami, straciłem oddech. Żyję — myślałem. — Nic mi nie jest. Mam całe ręce i nogi. Jestem w grocie. Szmer sypiącego się żwiru budził szeleszczące echa.

Chciałem powstać. Nogi rozjechały się. Upadłem na lodową taflę. Sunąłem na czworakach. Wszędzie napotykałem szklistą, zimną skorupę. Z kieszeni anoraka wydobyłem lampę. Był to kawał tłuszczu. Ugnieciona rękami bryła. Sterczał z niej knot bawełniany. Tłuszcz zamarł. Potarłem zapalną i płomień zbliżyłem do knota. Poczerniał liźnięty gorącem. Tłuszcz stopniał. Wsiąkł we włókna. Knot zajął się ogniem. Prychnął odrobiną wody. Krąg nikłego blasku rozlał się po lodzie. Dostrzegłem kamień. Wyciągnąłem rękę, aby postawić na nim lampę...

Krew skrzepla mi w żyłach. To nie kamień... Serce stanęło bez ruchu. Ręka zeszywniała. Oczy wyszły z orbit. Syczał knot siejąc żółte światło. Paraliż usztywniał mi mięśnie. Wiatr wył w oddaleniu. Głowa Indianina... Miałem ją przed sobą. Ludzka głowa. Oczy patrzące szklistymi białkami. Twarz obleczona skórą jak pergamin. Wpadnięte policzki. Sterczące kości. Sieć zmarszczek na czole barwy miedzi. Orli nos i wargi wąskie, wygięte w surowym uśmiechu. Włosy, czarne pasma ujęte barwną przepaską. Powróciły myśli — to nieprawda, co wydało mi się w pierwszej chwili. On nie jest żywy. To głowa zmarłego. Powleka ją glazura lodu. Światło budzi w niej refleksy. Ożywia martwe oczy.

Przysunąłem się bliżej. Powrócił mi oddech. Ucichło bicie serca. Podniósł się płomień kaganka. Dostrzegłem całą postać Indianina. Stał zatopiony w lodzie. Wystawała jedynie głowa. W ugiętej ręce na wysokości ramienia trzymał tomahawk wzniesiony do ciosu. Przenikałem wzrokiem lodowiec, aż do dna, do skórzanych legginsów obszytych lampasami ze skalpów, do ozdobnych mokasynów. Szklivo zniekształciło postać. Zatopione w nim nogi i ręce zdawały się drgać przy poruszeniach kaganka. Rozlewały się, tężały w nowe kształty, kurczyły.

Odżyła legenda — szepnąłem. Dziesiątki lat temu — tłumaczyłem sobie, zmarł wódz plemienia Tlingitów. Zginął z dala od plemiennych szałasów. Wielki Teton był świadkiem śmierci. Towarzysze wyprawy znaleźli tu miejsce na grobowiec wodza. W skalnej grocie, w skorupie lodu wyrabiali toporkami otwór. Wsunęli weń ciało w pozycji, w jakiej dusza miała wkroczyć do Krainy Wiecznych Łowów. Odtąd płynęły lata i zimy. Noce i dnie polarne. Zmieniały się pokolenia Tlingitów, a pamięć wodza trwała wśród plemienia i rosła w legendę o Czerwonoskórym, który drzemie w górach pod blaskami zorzy i wstanie kiedyś, aby przywrócić świetność opuszczonemu plemieniu.

Oto stoję wobec niego — myślałem — patrzę w martwe oczy. Wspominam słowa legendy. Lecz wódz nigdy nie wstanie. Podniesiony topór nigdy nie opadnie w obronie żywych Indian. Nie zdoła uchronić ich przed zagładą. Pamiętam słowa Thick Bunny'ego o najeździe białych. Jest ich coraz więcej. Kolumnami przekraczają góry. Spełzają do dolin, suną w górę rzek i strumieni, wsiąkają w głąb puszczy, która dawniej była tylko domem i łowiskiem

Indian, dzisiaj staje się łupem przybyszów, jutro będzie ich własnością. Kule białych dziesiątkują Indian. Dobija ich ognista woda. Dławieni i spychani giną bez ratunku.

Echo zamierało w zakamarkach groty. Poznałem, iż moje myśli zamieniły się w słowa. Wargi miałem spękane, obolały język. Skóra na twarzy przemrożona, wysmagana wichurą luszczyła się płatami. Nie mogłem bez bólu dotknąć policzka. Zdawało mi się, iż w bezwietrznej atmosferze jaskini nie ma mrozu. Miałem gorączkę. Krew uderzała falami do twarzy. Żar bił od niej. Zrzuciłem czapkę. Krok za krokiem obchodziłem ściany zwarte kręgiem wokół lodowej powierzchni. Światło budziło błyski w ziarnach szronu. Para z ust płynęła do sklepienia sali. Wielki Tetonie — powtarzałem — znam już twoją tajemnicę. Jestem jedynym człowiekiem, który ją odsłoni. Będą jeszcze trzej inni, ale tamci zabiorą ją do grobu.

Znalazłem złoto. Leżało na skalnych półeczkach, w szczelinach, na występach, we wnękach. Bryłki wielkości pestek, mialki piasek, grys, złote orzechy. Kładłem je na dłoni. Podrzucałem. Przesypywałem z jednej do drugiej. Czułem ciężar kruszcu. Mroźne grudki lepiły się do nagich palców. Kiedyś, dawno, otworami w głębi skały przyniosła je tu woda. Nie jest moje — mówiłem głośno. — Nie należy do mnie. Znalazłem je, ale nie jest moje. Należy do Wielkiego Tetona, do Tlingitów, których legenda przywiodła mnie tutaj. Przez te wszystkie miesiące kryłem w sercu nadzieję, że jednak znajdę skarby. Chciałem je zdobyć. A teraz kiedy mam złoto w palcach — widzę, że nie powinienem go zabrać. Z ciemności błyskają ku mnie oczy Indianina. Co kryje to spojrzenie? Ostrzega, grozi czy zezwala? Zamilkłem. Jasna myśl zabłysła w pełnym majaczeń mózgu. Testament. Testament wodza zawarty w legendzie. I to ja mam go wykonać...

Po ospysku kamieni wróciłem do otworu. Wiatr zdmuchnął kaganek. Przy świetle zorzy odnalazłem linę. Zsunąłem się ze skały, zbiegłem śnieżnym stokiem. Skrzyp kroków zwałił husky. Wyszły mi naprzeciw. W śnieżnej jamie zasłoniętej saniami rozpałiłem przywieszzone kawałki drzewa. Płomień lizał dno garnka. Stopiłem nieco śniegu. Wypiłem letnią wodę. Na ostrzu noża trzymanym w płomieniu odgrzałem kawałek mięsa. Usnąłem w śpiworze.

Wróciłem do jaskini. Wracałem dwa razy. Gromadziłem złoto. Sypałem je do skórzanym woreczków, znosiłem do obozu. Ilekroć wspinałem się ku ustom Tetona zaciskając dłoń na rzemiennej linie, badałem wzrokiem barren. Było wciąż puste i nagie, smagane biczeniami wichru. Wciąż nikt nie nadchodził z głębi białej równiny. Podnosiłem oczy ku niebu. Niemal nieustannie jarzyły się zorze. Poznałem ich barwy. Nasyconą zieleń, fiolet lub potopy żółci. Przesłaniały niebo pękami falujących wstążek, zbiegały się w ogniste korony.

Po raz ostatni wróciłem do groty. Klęcząc nad grobem Indianina jałem rozkuwać lód nożem. Okruchy padały dokoła. Szczękała stal. Dotknąłem dłoni wodza. Spomiędzy jego palców wysunąłem drzewce tomahawku. Przysunąłem światło. Ujrzałem wycięte znaki. One nadadzą siłę moim słowom, kiedy zjawię się u Indian — myślałem — i odsłonię im tajemnicę legendy. Zwróciłem się do wodza: spełnię twój testament. Odchodzę. Nie ścigaj mnie zemstą. Złota nie biorę dla siebie. Tomahawk nie jest ci potrzebny u Manitou. Skruszonym lodem zasypałem rękę Indianina.

Stanąłem w otworze jaskini. Barren paliło się światłością zorzy. Pośród zagonów pyłu zjawiły się ciemne punkty. Z góry, z wysokości skały, z ust Tetona ujrzałem, sunących w dół z niezmierną powolnością trzech ludzi.

Czekałem na nich w jaskini. Godzinami siedziałem na zwiniętej linie, zaciskając palce na lufie Winchestera. U wejścia zabrzmiały głosy. Utkwiłem oczy w jasnej plamie otworu. Zjawili się ludzie. Sunęli na tle gwiazdnego nieba. Jeden... drugi — liczyłem w duchu. Trzeci wpełził na czworakach w rozpadlinę. Zaniósł się kaszlem. Echo obieгло szeptami komnatę.

— Jest — powiedział któryś. — Jest pieczara.

Rozgrzewali dłonie trąc je i uderzając. Tupali butami. Położyłem strzelbę na złomie skalnym. Dostrzegłem jak krzeszą ogień. Osłaniali chylący się płomień. Teraz mi nie ujdą — myślałem. — Z tyłu mają przepaść. Otoczyłem usta dłońmi. Stłumiony i gruby mój głos

wypełnił podziemną pustkę, a dudniące echo poniosło słowo *m o r d e r c y* i odbiło je dziesiątki razy od ścian i stropu jaskini: mordercy... mordercy... mordercy...

Ogarek wypadł z czyjejś dłoni. Błysnął w locie. Zgasł. Zastygły sylwetki. Jeden z ludzi uniósł ręce do szyi. Usłyszałem zdławiony okrzyk. Cofnął się. Zachwiał. Uderzył dłońmi powietrze i zwałił się w przepaść, tam skąd przyszedł. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Pierwszy! — pomyślałem.

Dwaj pozostali nie drgnęli. Trwało długie milczenie. Przerzywał je gwizd wichru na skałach. Złowiłem szept:

— Harry, tam są ludzie...

— Jest tylko jeden! — zawołałem. — Jeden pytający: który z was zabił trapera w chacie nad Salt Creek?

Porwali się do broni. Strzelali na ślepo. Błyski rozdarły ciemność. Chlasnęły kule. Podrzuciłem strzelbę do ramienia. Potem nabiłem po omacku i podrzuciłem lufę po raz drugi. Huk gromu wypełnił jaskinię. Popłynął obłok prochowego dymu. Szron sypał się długo ze stropu.

— Drugi... i trzeci! — wyszeptalem.

Znikł mi z oczu Wielki Teton. Zsunął się na horyzont. Wokół była równina. Patrzałem na nią jak przez mglisty opar. Miałem wciąż gorączkę. W lodowatej wichurze ogarniał mnie upał. Nie byłem w stanie nic przelknąć. Na gołym ciele, pod koszulą, grzałem bryłki tłuszczu. Kiedy miękkły wkładałem je do ust. Żułem, wypluwałem. Nie miałem już nic do rozpalenia ognia. Mógłbym tylko porąbać sanie. Nie mogłem topić lodu. Zbierałem śnieg nawiany w fałdy anoraka. Zlizywałem go z rękawic. Cierpły mi zęby i język. Wzmagало się pragnienie.

Rozpadały się buty. Owinąłem je płatami skóry. Oplotłem rzemieniami. Szedłem za saniami opierając się o ładunek.

Psów nie karmiłem. Nie było już czym. Pożarłyby uprząż, gdybym jej nie chował na postojach. Kiedy padł Ice, wyplątałem go z linek i mięso jeszcze nie stężałe podzieliłem między jego towarzyszy z zaprzęgu. Znikły kości, skóra z rudą sierścią i ścięgna. Zęby rozsypane po śniegu połknął Push. Potem szły rażniej, a kiedy po dwóch czy trzech dniach znów straciły siły, padł z wyczerpania Tom i mogłem je nakarmić. Na postojach psy marzły. Musiałem stawić je na nogi. Rozcierać im boki i łapy. Znikł Snup i Push. Podczas kiedy spałem, odeszły w zadymce. Przepadły na barren.

Zwaliłem z sań całą resztę wlezonego sprzętu. Został tylko ładunek złota i tomahawk wodza. Do ostatniej pętli wsunąłem głowę Fixa. Sam stanąłem obok. Przepasałem piersi liną. Wypreżyłem nogi. Płozy jęły szeleścić po kryształach lodu.

Zjawiły się pierwsze drzewka. Karłowate świerki o gałęziach zepchniętych przez wiatr w jedną stronę. Wskazywały kierunek marszu. Przestałem się lękać zbłądzenia. Wschodził księżyc. Palily się zorze. Kulilem się za saniami. Marzyłem, aby usnąć. Wciąż miałem nadzieję, że więcej nie zdołam powstać, że się to już skończy na zawsze. Fix trącał mnie nosem. Wstawałem zarzucałem linkę na ramiona. Przystawiałem nieczułe stopy. Zjawiała się Chiquita. Była wciąż blisko. Słyszałem jej lekkie stapania. Skrzyp śniegu pod małym mokasynem. Jej ramię dotykało mego barku. Trzymała się zawsze nieco z tyłu. Wystarczyłoby mi obrócić głowę, aby ją ujrzeć. Coś mówiłem do niej.

Fix podniósł nozdrza do wiatru. Z bladej mgły wyłoniły się postacie Indian. Widziałem jak nadchodzą. Obraz mącił się i rozplýwał. Ugięły mi się kolana. Upadłem twarzą do śniegu.

## VIII

Jestem związany! Po raz drugi w życiu. Za pierwszym razem leżałem w canoe płyną-

cym z prądem rzeki. Teraz budzę się w kamiennym szałasie. Rzucono mnie na posłanie ze skór. Płonie ognisko. Dym zbiera się u stropu.

Napotkałem spojrzenie czarnych oczu.

— Gdzie jestem? — spytałem.

Zza paleniska powstała kobieta. Wymknęła się bez słowa. Usłyszałem głosy. Weszli dwaj Indianie. Mieli odkryte głowy. Proste włosy opadały im do ramion. Rozczesane, tworzyły przedziałek w środku czaszki. Płatki śniegu topniały na skórzanych spodniach i bluzach. Ujrzałem malowane fajki wiszące u szyi. Ręce opuścili wzdłuż boków. Ten starzec — myślałem — jest zapewne wodzem. Z wysuszonej twarzy sterczy nos jak potężny dziób orli. Skóra opinająca policzki i czoło, poryta siecią zmarszczek, stała się niemal czarna pod działaniem wichrów i dymu obozowych ognisk.

— Jakie jest imię Bładej Twarzy? — zapytał po angielsku.

— Dlaczego jestem związany? — spytałem ja w narzeczu Tlingitów.

Spojrzeni na siebie. Starzec porzucił angielszczyznę.

— Błada Twarz przemówiła językiem Tlingitów, skąd zna ich mowę?

— Odpowiem, ale najpierw zdejmijcie mi więzy.

— Milcz, bo cię przebiję! — krzyknął drugi Indianin. Błysnął klingą noża. Starzec podniósł rękę. Wstrzymał towarzysza.

— Jeniec nie chce mówić. Czerwoni mężowie nie potrzebują pytać. Nie będą słuchać podwójnego języka. Wiedzą wszystko. Trzy Pióra znalazł na sankach tomahawk i złoto. Błada Twarz przybyła na ziemię Indian trawiona gorączką kruszcu. Ale tego było jej mało. Podniosła świętokradczą rękę na grób Indianina. Zabrała tomahawk, jaki Tlingici zwykli dawać zmarłym. Błada Twarz musi zginąć, ale przedtem niech powie, z czyjego grobu wzięła tomahawk. Trzy Pióra odda go zmarłemu.

— Trzy Pióra jest w błędzie. Mów... — zamilkłem gdyż młodszy Indianin znów zagroził mi nożem.

— Pozwólmy mu mówić — wtrącił Trzy Pióra. — Prędko. Czerwoni mężowie nie będą długo słuchać kłamliwych tłumaczeń.

— Mówię tylko prawdę. Nazywam się George Waine. Choć zostałem związany, nie opuściło mnie uczucie wdzięczności, które jestem winien Tlingitom za uratowanie od śmierci z zimna i głodu. Złota nie wiozłem dla siebie. Chciałem odszukać chaty Tlingitów i zanieść im pomoc. Aby dać znak Tlingitom, że mówię prawdę, wzięłem tomahawk z dłoni zmarłego przed wiekami wodza...

— Dość! — uciął Trzy Pióra. — Błada Twarz jest tchórzliwa jak kujot. Chce skalp ocalić kłamstwem. Trzy Pióra widział więcej zim i wiosen niż inni Tlingici. W jego sercu wygasła nienawiść i pragnienie zemsty. Zbrodnie wobec Indian są dość wielkie, aby każdą z Bładych Twarzy oddać śmierci w męczarniach. Ale Trzy Pióra pozwoli swemu jeńcowi walczyć o życie. Rozstrzygnie wola Manitou.

— Dobrze więc! — krzyknąłem z gniewem. - Niech będzie sąd boży. Potem zmuszę Tlingitów do słuchania. A jeżeli zginę, to nie z woli Manitou, ale przez głupotę Tlingitów. Przekonają się, że pogrzebali swoją przyszłość, którą Manitou złożył w moje dłonie... Teraz będę milczał.

— Zginiesz, kiedy ukaże się słońce — rzekł Trzy Pióra.

Odwrócili się w miejscu.

— Co zrobiliście z moim husky? — zapytałem.

Wódz spojrzał przez ramię.

— Wyrwał się z rąk Tlingitów. Trzy Pióra widział jego tropy. Krąży w puszczy blisko Bładej Twarzy.

\* \* \*



Wyprowadzono mnie z chaty. Zamknąłem oczy porażone światłem słońca. Odurzało powietrze bez dymu. Stapałem z trudem. Po raz pierwszy od wielu dni mogłem chodzić. Dwaj strażnicy wiedli mnie pod ręce. Ujrzałem ścieżki wydeptane w śniegu. Dymiące otwory chat i szałasów ukrytych pod zaspami. Okiść leżała na świerkach. Milczące olbrzymy strzelały pod niebo. Na jasnym błękitnie nie mrugały gwiazdy i nie drgały zorze. Pierwszy raz od tygodni widziałem znów słońce. Sączyło blaski przez igliwie. I w tym dniu mam zginąć? — pytałem siebie w duszy.

Stanąłem na placu pośrodku osady. Gromadziła się ludność. Spod lisich czap wlepiali we mnie oczy. Utworzyli koło. Nad ramionami mężczyzn zaglądały kobiety. Chłopcy wciskali się do pierwszego rzędu. Trzy Pióra stał w rozkroku otoczony starszyzną. Ręce złożył na piersi. Czekałem aż przemówi. Sójki wrzeszczały w gałęziach. Osypywał się śnieg migocąc złotem. Wdychałem powietrze puszczy.

— Niech Błada Twarz szeroko otwiera oczy — przemówił Trzy Pióra. — Po raz ostatni widzi światło dzienne. Niech Błada Twarz idzie za mną.

Odwrocił się i wszedł pod drzewa. Kroczyłem za nim słysząc szmer stóp całego plemienia. Zaraz się okaże — myślałem — co mi przygotowali. Nie zmarnuję najmniejszej szansy...

Trzy Pióra wszedł do wąskiego parowu. Strome ściany wyrosły ponad głowy. Przez ich krawędzie chyliły się bezlistne brzozy i łapy jodeł.

— Tutaj! — rzekł Trzy Pióra. — Niech Błada Twarz słucha uważnie jak ma zginąć. W parowie stanie naprzeciw siebie dwóch wojowników uzbrojonych w łuki. Błada Twarz spróbuje przedostać się między nimi w poprzek parowu, z jednego urwiska na drugie. Każdy z nich ma jedną strzałę i nie wolno mu ruszyć się z miejsca. Jeśli Błada Twarz zdoła przebyć parów, odzyska wolność i będzie mogła odejść do swojego wigwamu.

Skinął. Dwaj łucznicy wysunęli się z tłumu. Mieli łuki i po jednej strzale. Jęknęły napięte cięciwy.

Trzy Pióra przeciął mi więzy.

— Niech Błada Twarz wdrapie się teraz na jeden brzeg parowu. Jeśli zabraknie jej odwagi, żeby wbiec między strzelców — niech się powiesi.

Przyniesiono rzemień. Pewna myśl błysnęła mi w głowie.

— Za krótki — powiedziałem.

— Bładej Twarzy umysł mąci się ze strachu — rzucił wódz. — Podajcie mu drugi.

Ktoś pobiegł do osady. Wrócił zadyszany. Związałem oba odcinki. Tlingici spluwali. Łowiłem spojrzenia. Są pełne pogardy — myślałem — pogardy dla tchórza, który szuka ucieczki w samobójstwie.

— Czy i teraz Błada Twarz nie powie, z czyjego grobu zrabowała tomahawk?

Zaprzeciłem głową.

— Błada Twarz jest wielkim kłamcą i wielkim wrogiem czerwonoskórych — mówił Trzy Pióra. — Zginie z ręki Manitou. Niech nie próbuje zwlekać. Jeśli po upływie połowy tego czasu, który biali nazywają godziną, Błada Twarz nie przebiegnie parowu lub nie powiesi się sama, Tlingici zapolują na nią z psami.

Z rzemieniem na ramieniu wspiąłem się na ścianę parowu. Ukryłem się w gąszczu. Znikłem z oczu Indian. Poprzez gęstwą badałem teren. Parów nie był szeroki. Pięć albo sześć jardów — oceniałem. — Jest głęboki co najmniej na cztery. Zanim zeskoczę z jednej stromej ściany, nim przebiegnę do drugiej przez kolczaste krzaki czepiające się spodni, przeszyją mnie dwie strzały. Wybrali z pewnością najlepszych strzelców plemienia. Pozostaje tylko podstęp...

Wybrałem cienką brzozę. Rosła tuż przy krawędzi. Przed wzrokiem Indian stłoczonych u wylotu parowu osłaniały ją dwie jodły. Obejmując pień kolanami wspiąłem się do trzech czwartych wysokości drzewa. Zza krawędzi parowu wyłoniło się jego dno i dwaj łucznicy.

Jeden z nich zawołał:

— Błada Twarz ucieka na drzewa jak wiewiórka. Niech zejdzie do wąwozu, aby ją mogły dosięgnąć strzały.

Rozwinałem rzemień. Indianin zawołał coś do gromady tłoczącej się z dala. Zerwał się tam hałas i wycie. Muszą być wściekli — pomyślałem — że ofiara się wiesza zamiast pozwolić się przestrzelić. Przywiązałem rzemień do pnia. Zeskoczyłem w zaspę. Drugi koniec liny przewlokłem za świerk rosnący z tyłu. Ciągnąc linę jak przez blok, zdołałem ugiąć pień brzozy. Pochyliła się łukiem. Umocowałem rzemień. Muszę się spieszyć — myślałem — nim pojną co się święci. Wdrapałem się na brzozę aż do węzła liny. Na wygiętym pniu pękały płaty kory ukazując zielone łyko. Wydobyłem blaszane pudełko po tytoniu. Ostrą krawędzią jałem pilować wyprężony jak struna rzemień. Drgał mi pod palcami. Gdy nacięcie jęło się już samo rozdierać, rzuciłem pudełko. Oburącz chwyciłem się pnia. Wpiłem palce w korę. Rzemień puścił. Szarpnięcie targnęło mnie do przodu. Ramiona omal nie wyskoczyły ze stawów. Napięły się ścięgna. Nogi zatoczyły łuk. Znalazły się nad głową. Rzucony w powietrze śmignąłem nad parowem. Mignęły drzewa, słońce, twarze oniemiałych strzelców. Skuliłem głowę. Rozległ się trzask i łomot. Spadłem na zaśnieżoną jodłę. Chwyciłem kolczaste gałęzie. Spłynęły rzeki śniegu.

Tlingici wbiegli do parowu. Wznosili broń i pięści. Krzyczeli. Skoczyłem na dno. Stałem przed wodzem. Otaczały mnie wzburzone twarze. Otrzymałem cios w plecy. Musiałem przekrzykiwać hałas.

— Czy Trzy Pióra widział jak przebyłem parów?

Skinął głową.

— Niech więc Trzy Pióra uspokoi umysły Tlingitów. Jeśli podniosą broń na mnie, będzie to obraza Manitou, który rozstrzygnął sprawiedliwie.

Trzy Pióra podniósł ręce. Trwał w tej postawie, póki gwar nie ucichł.

— Moi bracia — przemówił — muszą porzucić myśl o śmierci Bładej Twarzy. Błada Twarz jest wolna. Nikt nie będzie jej ścigał.

— Proszę — powiedziałem — aby Trzy Pióra zwołał radę plemienia.

Ruszyłem do osady. Spod nawisłych gałęzi leśnego podszycia wyjrzał pysk Fixa. Śmignęła ruda błyskawica. Skoczył mi na piersi.

\* \* \*

Dym snuł się po wielkiej chacie. Blask płomieni rozjaśniał twarze siedzących kręgiem Indian. Stałem przed nimi.

— Błada Twarz — rzekł Trzy Pióra — chciała mówić. Niech mówi!

— Czy czerwonoskórzy pamiętają Thick Bunny'ego, białego trapera? — spytałem.

— Jest bratem Tlingitów — rzekł wódz. — Gdzie przebywa teraz?

— W Krainie Wiecznych Łowów. Zginął z ręki mordercy.

— Trzy Pióra chce wiedzieć, kto zabił Czo-Szi — Gruby Brzuch. Trzy Pióra pójdzie jego śladem i zabierze mu skalp.

— To już nie jest potrzebne. Thick Bunny był także przyjacielem George Waine'a, który pomścił jego śmierć.

— Dlaczego Biały Brat ukrywał to co mówi teraz — spytał wódz — byłby przyjęty inaczej...

— Trzy Pióra zapomniał już, że czerwonoskórzy nie dali mi dojść do słowa, a kiedy mówiłem, nazwali to szczekaniem kujota. Mimo to nie mam do nich żalu.

— George Waine będzie bratem Tlingitów. Trzy Pióra wypali z nim fajkę pokoju — oznajmił wódz. — Niech Biały Brat zbliży się i usiądzie.

Okrażyłem ognisko. Trzaskały polana. Pachniał dym i zioła suszone pod stropem. Wódz

napelnił fajkę. Ubił kinnikinnik kciukiem. Zapalił węgielkiem. Pyknął. Oddał mnie. Pociągnąłem łyk dymu, wypuściłem w trzy strony świata i ku ognisku, oddałem fajkę wodzowi. Odezwał się uroczyście:

— George Waine jest teraz bratem Tlingitów. Ich uszy są otwarte na jego słowa.

Zwróciły się ku mnie wszystkie oczy. Tkwiły w surowych twarzach jakby wyrzeźbionych z twardego drzewa uderzeniami toporka.

— Błada Twarz umierała z wyczerpania — mówiłem. — Jej żołądek był pusty, a jej gardło wyschnięte. Nogi nie mogły już unieść ciała. Ale Manitou nie chciał zguby Bładej Twarzy. Sprowadził na jej trop Tlingitów. Lecz oni nie zrozumieli boga Indian i chcieli zabić przybysza. Wtedy Manitou po raz drugi przywrócił go życiu i pozwolił mu przebyć parów. Manitou, który widzi myśli czerwonoskórych i słyszy co mówią ich języki, chce, aby Tlingici uwierzyli słowom Bładej Twarzy i przyjęli to co ona im przynosi. Czy Tlingici znają legendę o skale zwanej Wielkim Tetonem?

Wódz pochylił głowę. Pytałem dalej:

— Czy ktoś w Tlingitów widział skałę?

— Ojciec ojca Trzech Piór patrzył na nią z daleka — rzekł wódz. — Nikt nie przebył pustyni bez drzew i zwierząt.

— George Waine tam był — powiedziałem. — Wspiął się po skale i wszedł do ust Tetona.

Krąg słuchających zakołysał się. Widziałem niedowierzanie i podziw malujące się na twarzach.

— Niech Czerwoni Bracia wspomną słowa legendy:

*Białopióre skrzydła płócien  
Przyniosą na szybkich canoe  
Śmierć i zagładę Tlingitom  
Otworzy się święta skała  
I z ust wielkiego Tetona  
Wódz Tlingitów Blask Pioruna  
Wyjdzie niosąc ocalenie  
Przez dobrego boga Indian  
Darowane jego dzieciom.*

— Śmierć i zagładę... — mówiłem dalej — przyniosły ze sobą Błade Twarze. Jestem ich synem i należę do nich, ale życie w puszczy i nauki Thick Bunny'ego pokazały mi, gdzie leży sprawiedliwość. Błade Twarze odbierają Tlingitom ziemię i wypędzają ich z odwiecznych łowisk. Pragnę pomóc Czerwonym Braciom. Nadszedł czas, o którym mówi legenda. Byłem w ustach Wielkiego Tetona. Rozmawiałem z wodzem Indian połkniętym przez świętą skałę. Proszę, aby Trzy Pióra powtórzył głośno imię tego wodza.

— Trzy Pióra zna to imię. Był największym wodzem Tlingitów. Zwał się Blask Pioruna.

— Proszę teraz, aby obejrzano tomahawk, który przywiozłem na saniach.

Któryś z młodszych Indian przyniósł tomahawk z głębi chaty. Trzy Pióra wziął go w dłonie i nachylił do światła. Zaśniło miedziane ostrze. Zajaśniał podwójny zygzak błyskawicy wyryty w metalu. Trzy Pióra wyprostował plecy. Wzniósł tomahawk nad głowę. Przemówił.

— Niech Tlingici spojrzą na tomahawk. Ujrzą znak wodza Blask Pioruna. Trzy Pióra znał legendę, ale nie uważał jej za prawdziwą. Mylił się. George Waine może mówić dalej. Jego słowami przemówił Blask Pioruna.

— Legenda jest prawdziwa — ciągnąłem — lecz wódz nie wyjdzie ze środka skały.

Ocalenie, jakie miał przynieść swemu ludowi, złożył w dłonie Bładej Twarzy — George Waine'a. Czerwoni bracia wiedzą jak potężni są biali. Każdej wiosny przybywa ich więcej. Zalewają kraj Tlingitów. Wkrótce ostatni z czerwonoskórych będą musieli odejść ze swoich łowisk. Biali ludzie mają prawa, które stosują tylko do białych. Te prawa zabraniają odbierania cudzej ziemi. Gdyby ziemia Tlingitów należała do białych, nikt nie śmiałby jej naruszyć. Tlingici wiedzą jak łakome na złoto są Błade Twarze. Niech Tlingici zgodzą się, abym oddał złoto Wielkiego Tetona wodzom Bładych Twarzy, za to oni oddadzą mi ziemię Tlingitów i będą ich strzegli przed innymi białymi. Tlingici pozostaną bezpieczni na swoich łowiskach, które według praw Bładych Twarzy będą własnością białego — George Waine'a.

Nie są to sprawy, które można załatwić tu, w puszczy. Trzeba zawieźć złoto tam, gdzie mieszkają wodzowie Bładych Twarzy i gdzie rodzą się ich prawa. Jeśli Tlingici przyjmą moje słowa, niektórzy z nich będą musieli wyruszyć ze mną do miast białych.

## IX

Odbicie księżyca chwiało się na rzece. Pluskały pióra wiosła. Bryzgi wody padały mi na twarz. Sunęły do tyłu ciemne brzegi. Pstrągi śmigwały przed dziobem canoe prując grzbietami lustro. Wiatr szeleścił w zaroślach. Niósł zapach świeżych liści i pędów. Przesuwałem wiosło wzdłuż burty. Słyszałem za sobą plusk wiosła Indianina. Głośno oddychał Fix leżący na stosie bagaży. Bulgotała woda. Warkocz spienionych wirów zostawał za łodzią. Na wysokim brzegu ukazał się zarys domu.

— Przybijamy — rzuciłem.

Łódź dotknęła brzegu.

— Trzymaj Fixa — zwróciłem się do Indianina — gotów pożreć się z psami.

Wyskoczyłem na pomost z bali. Drugie canoe wychynęło z mroku. Przybiło do pomostu.

— Proszę — powiedziałem — aby Trzy Pióra i wiosłarze zczekali tu na mnie. Nim popłyniemy dalej, chcę odwiedzić faktorię.

Wspinałem się pod świerkami. Promienie księżyca leżały na ścieżce. Wszedłem na polanę. Psy nadbiegły z ciemności. Zanosiły się ujadaniem. Okrążały mnie jeżąc grzywy. Błyskały tarczki oczu. Minałem szopę. Na wrotach, na łańcuchu zwiisała wielka kłódka. Pamiętam jeszcze ten afisz w środku — pomyślałem: GDY MĘŻCZYŹNI MÓWIĄ O STRZELANIU... Tutaj George Waine, greenhorn, uciekinier z kolegium w San Francisco, chciał przez dwa lata układać w pęczki skórki bobrowe.

Budynek faktorii tonął w ciemnościach. Wiodłem wzrokiem po oknach na piętrze. Skrzypnęła rama. Księżyc błysnął w szybie. Ucichły psy. Kiwnęły ogonami. Ujrzałem twarz okoloną chmurą czarnych włosów.

— Kto? — spytała Chiquita — kto chodzi po nocy?

Zbliżałem się — czułem jak pędy trawy oplatają mi buty. Słyszałem sypiącą się ze źdźbeł rosę. Powiew przyniósł woń świerków.

## X

George Waine przestał mówić. Zakaszłał. Do mikrofonu wdarł się hałas nowojorskiej ulicy. Zatrzymały się krążki magnetofonu.

— Nadaliśmy czwartą audycję światowego konkursu reporterów — podjął speaker —

nagranie Jana Gwalberta Pileckiego...

W studio zapłonęły światła. Członkowie jury wynurzyli się zza oparcie foteli. Ktoś klepnął mnie po ramieniu. Zbliżył się Grosvenor.

— Gdzie pan wytrzasnął tego George Waine'a? — spytał.

## SPIS TREŚCI

Nieoczekiwane ( <i>Jack London</i> )	02
Sukces Billa Wardera ( <i>Jane Hope</i> )	14
Złoto Tetona ( <i>Rafał Maciejewski</i> )	19